
GŁOSY PODOLAN



ISSN 1507-9996

Nr 162

LIPIEC-WRZESIEŃ

2023



KWARTALNIK ODDZIAŁU TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW
LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH W POZNANIU

„Głosy Podolan”

Kwartalnik Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Poznaniu.

Zespół Redakcyjny:

Igor Megger (Poznań) Redaktor Naczelny, Hanna Dobias-Telesińska (Poznań), Alicja Kocan (Warszawa), Maria Sikorzyńska (Warszawa), Robert Szczerkowski (Wrocław), Piotr Rudzki (Warszawa) korektor.

Adres do korespondencji:

*Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Oddział Poznań
„CK Zamek”, ul. św. Marcin 80/82 p.336
61-809 Poznań
Z dopiskiem „Redakcja Głosów Podolan”*

Adres e-mail: igor_mode@wp.pl

Tel. 728-252-793

Strona internetowa: www.lwowiacy.pl

Konto bankowe:

*Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Poznań, ul. św. Marcin 80/82
PKO BP I O. Poznań*

Nr 06 1020 4027 0000 1302 0293 3455

Z dopiskiem: darowizna statutowa (na cele wydawnicze)

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania
i adiustacji nadesłanych tekstów.

Druk: „Orange House” ul. Sosnowa 38, Bielany Wrocławskie

SPIS TREŚCI

Tabela - wykaz pomordowanych polaków przez OUN-UPA w woj. Tarnopolskim w latach 1939-1946	s.1
Igor MEGGER	
Jak Polacy obchodzili 80 rocznicę „Krwawej Niedzieli”	s.2
Bruno BROŻYNIAK	
Dzieciaki na wojnie. Wspomnienia czortkowianina (cz. IX).....	s. 6
Józef Zbigniew SIEGEL	
Saga rodziny Siegelów (cz. V).....	s. 9
Emilia GŁOWACKA	
Musieliśmy uciekać z naszej pięknej Ukrainy (Złotniki k. Podhajec) .	s.14
Franciszek JÓŹKÓW	
17 września 1939 r. w Chorostkowie i Kopyczyńcach	s.21
Jerzy MARKOWSKI	
Pewne zdarzenie w Czortkowie	s. 27
Andrzej GRAFIK	
Ks. prof. Andrzej Boczar (1896-1962).....	s. 28
Aneta KRZAK	
Podolanie „Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata” cz.VII – Rodzina Grzebyków (Monasterzyska pow. Buczaczy)	s. 37
Alicja PLACHA	
Podolanie „Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata” cz.VIII – Rodzina Traczów (Kopyczyńce)	s. 38
Jerzy MILLER	
Zapomniani pisarze z Podola cz. VIII – Michał Rolle	s. 39
Igor MEGGER	
Czortków w XIX tomie „Kresowej Atlantydy”	s. 41
Aktualności z Podola oraz z życia Podolan w kraju	s. 46
Igor MEGGER	
Z Żałobnej karty: Maria Sikorzyńska, Józef Zbigniew Siegel, Kazimierz Górak	s. 49
Jerzy MILLER	
Wspomnienie o moim przyjacielu ŚP Franciszku Bąkowskim	s. 55
Hanna DOBIAS-TELESIŃSKA	
XXVI Dni Lwowa i Kresów w Poznaniu – Piknik Lwowski.....	s. 59
REDAKCJA	
Adam Chłopek laureatem wyróżnienia „Semper Fidelis”	s. 62
Pieśni ludowe z Podola z nutami cz. III – Rutko zieleniutka	s.64



Udokumentowana liczba zamordowanych Polaków przez ukraińskich ludobójców OUN-UPA w woj. tarnopolskim w latach 1939-1946

Lp.	Nazwa powiatów	ilość				
		zamor- mor- dowa- nych	usta- lonych na- zwisek	ran- nych	wypę- dzonych (około)	opusz- czonych i spalonych zagród
1	Borszczów	1535	704	116	11991	3228
2	Brody	3431	1431	31	9405	2455
3	Brzeżany	2142	961	19	26200	5568
4	Buczacz	1671	948	120	40820	8438
5	Czortków	863	484	21	26811	4758
6	Kamionka	1007	417	3	19570	3907
7	Kopyczyńce	1272	667	48	23910	5070
8	Podhajce	1174	884	30	24238	5319
9	Przemyślany	1507	800	34	25279	4885
10	Radziechów	889	278	19	9190	1956
11	Skałat	966	245	32	32929	6377
12	Tarnopol	2146	540	48	38435	7045
13	Trembowła	1308	869	80	33845	6478
14	Zaleszczyki	1505	813	19	10517	2062
15	Zbaraż	751	342	25	19984	4133
16	Zborów	760	332	47	16280	3463
17	Złoczów	942	343	58	24937	4533
	Razem:	23879	11058	750	397341	79674

UWAGA: Nazwiskami ustalono 23 879 osób zamordowanych, a według liczb szacunkowych we wszystkich miejscowościach, w powiatach dodatkowo zamordowano 21 000 osób, czyli ogółem zamordowano około 45 000 osób.

Źródło: katalog wystawy ludobójstwa dokonanego na Polakach przez OUN-UPA na Kresach Południowo-Wschodnich II RP 1939-1947, praca zbiorowa, SUOZUN-Wrocław, 2008 r.

Igor Megger
Poznań

Jak Polacy obchodzili 80 rocznicę „Krwawej niedzieli”

Obchody centralne:

7 lipca – W Archikatedrze Warszawskiej nabożeństwo Przebaczenia i Pojednania oraz podpisanie wspólnego orędzia, które podpisali przewodniczący polskiego episkopatu Abp Stanisław Gądecki i Abp Światosław Szewczuk, arcybiskup większy kijowsko-halicki, zwierzchnik Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego.

11 lipca – Uroczystości przed Grobem Nieznanego Żołnierza oraz pod pomnikiem na Skwerze Wołyńskim w Warszawie z udziałem polskiego Premiera Mateusza Morawieckiego, Marszałek Sejmu Elżbiety Witek oraz przewodniczącego Rady Najwyższej Ukrainy Rusłana Stefańczuka. Msza w Katedrze Polowej WP, Marsz Pamięci.

Uroczystości na terenie ob. Ukrainy:

7 lipca – Premier RP Mateusz Morawiecki wkołał krzyż na terenie wymordowanej w 1943 i nieistniejącej dziś wsi Ostrówki na Wołyniu.

8 lipca – pielgrzymka i msza pojednania w Parośli na Wołyniu, mszy przewodniczył Abp. S. Gądecki.

9 lipca – Msza Św. w katedrze świętych apostołów Piotra i Pawła w Łucku. Przewodniczył jej nuncjusz apostolski w Ukrainie Arcybiskup Visvaldas Kulbokas. W Eucharystii wzięli udział przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski oraz przedstawiciele Kościoła Greckokatolickiego z Polski i Ukrainy. W Mszy Św. uczestniczyli prezydenci Polski i Ukrainy.

Uroczystości poza granicami kraju:

Budapeszt – wystawa „Nie o zemstę, lecz o pamięć wołają ofiary” – o pomocy Węgrów w walce z UPA.

Uroczystości w miastach wojewódzkich:

Białystok: Rozdawanie kwiatów lnu.

Bydgoszcz: Uroczystość pod Krzyżem Wołyńskim z udziałem wojewody.

Gdańsk: Msza Św. w bazylice Św. Brygidy, uroczystości pod pomnikiem, wykład, wystawa w muzeum II WŚ, audycja radiowa.

Gorzów Wlkp: Msza św. w kościele pw. Św. Antoniego, złożenie kwiatów przed pomnikiem.

Katowice: Złożenie kwiatów pod tablicą „Ofiar Hitlerowców, Sowietów i OUN UPA 1939-1947”, audycja radiowa.

Kielce: Msza Św. w katedrze, uroczystość pod tablicą ofiar, „czarny marsz”, wystawa.

Kraków: Msza Św. w kaplicy na cmentarzu i uroczystości pod znajdującym się tam pomnikiem, „czarny marsz”, wystawa, spot w pojazdach MPK.

Lublin: Msza Św. w kościele garnizonowym, uroczystości pod pomnikiem, dwa „czarne marsze”, wystawa, rajd motocyklowy.

Łódź: Złożenie kwiatów pod tablicą, rozdawanie kwiatów Inu, wystawa.

Olsztyn: Złożenie kwiatów przy pomniku ofiar na cmentarzu.

Opole: Msza Św. w kościele Franciszkanów, uroczystość przed pomnikiem „Bojowników o polskość Śląska Opolskiego”.

Poznań: Msza Św. w Katedrze, Msza w kościele Św. Jana Kantego z uroczystością przed tablicą, główne uroczystości przed tablicą w kościele Dominikanów z udziałem wojewody, „czarny marsz”, wydawnictwo nt. Huty Pieniackiej.

Rzeszów: Msza Św. w kościele pw. Krzyża Św., złożenie kwiatów pod tablicą z udziałem wojewody.

Szczecin: Uroczystości przed pomnikiem na Cmentarzu Centralnym, audycja radiowa.

Toruń: Msza Św. w kościele pw. Św. Jakuba, złożenie kwiatów pod tablicą – tryptykiem wołyńskim w kościele pw. Miłosierdzia Bożego, marsz żałobny.

Wrocław: Msza Św. w kościele NMP na Piasku, uroczystość przed pomnikiem, czarny marsz, konferencja naukowa, wystawa.

Zielona Góra: Msza Św., odsłonięcie pomnika na Placu Słowiańskim, rozdawanie kwiatów Inu.

Uroczystości w innych miejscowościach w kraju (w wymienionych miejscowościach w przeważającej większości odprawiono Msze Święte lub odbyły się uroczystości przed pomnikami, tablicami, na cmentarzu oraz dodatkowo w niektórych lokalizacjach wydarzenia podane w nawiasie): Barlinek (odsłonięcie tablicy), Bartoszyce, Bełchatów (rozdawanie kwiatów Inu), Bielsko-Biała, Biłgoraj, Bochnia (wykład), Bolesławiec, Brzeg, Brzesko (kwiaty Inu), Brzozów (konferencja), Cieszanów (konferencja), Chełm (posadzenie dębu pamięci i pojednania), Chodzież (spotkanie potomków), Chojnice, Chrzanów (kwiaty Inu), Cieszyn (wykład), Dąbrowa Górnicza, Dębno, Dzierżoniów, Drezdenko (mural), Elbląg (wykład), Gliwice (kwiaty Inu), Głogów, Głubczyce, Gniezno, Golenów, Grudziądz, Hrubieszów (koncert patriotyczny), Iława, Inowrocław, Jarosław (sesja naukowa), Jasło, Jaworzno, Jelenia Góra, Kazimierz Dolny (rajd motocyklowy), Kędzierzyn-Koźle (marsz, konferencja), Kluczbork, Kłodzko (kwiaty Inu), Konin, Kostrzyn nad Odrą, Kozłów, Kutno, Legnica (panel dyskusyjny), Lesko, Leszno (wystawa), Limanowa (wmurowanie tablicy), Lubiąża, Lubaczów (rajd), Lubartów, Lubin, Lwówek Śląski (występ artystyczny), Łęczyca, Łomża (kwiaty Inu), Malbork (wykład), Michniów, Miechów, Mielec, Milicz, Mława (kwiaty Inu), Morąg (odsłonięcie tablicy), Myszków, Myślenice (kwiaty Inu), Niemysłowice, Niemodlin, Nidzica, Nowogard (Msza Św. z udziałem Arcybiskupa Lwowskiego M. Mokrzyckiego, wystawa), Nowy Dwór Gdański (rajd), Nowe Miasto nad Pilicą, Nowy Sącz (marsz żałobny), Nowy Targ, Nysa, Oława (odsłonięcie tablicy), Ostrołęka, Ostrowiec Świętokrzyski, Ostrów Wlkp. (wiec), Oświęcim (kwiaty Inu), Pabianice, Piekary Śląskie, Piaseczno (kwiaty Inu), Piława Górna, Piotrków Trybunalski, Płock (kwiaty Inu), Polkowice (udział delegacji władz miasta w uroczystościach na Wołyniu), Prabuty (uchwała Rady Miasta), Przasnysz, Przemyśl, Racibórz, Radom (Dni Pamięci Kresów), Radzyń Podlaski (promocja książki), Rawa Mazowiecka, Rawicz, Rybnik (konferencja), Sandomierz, Sanok (konferencja), Sędziszów, Siedlce (kwiaty Inu), Sieradz (kwiaty Inu), Sierpc, Sławno, Słupca, Słupsk, Skwierzyna (odsłonięcie ta-

blicy), Sokołów Podlaski, Sokółka, Stalowa Wola (rajd rowerowy), Starachowice, Stare Bogaczowce, Stargard Szczeciński, Starogard Gdański, Strzelin, Sulechów, Sulęcín, Śrem (petycja nazewnicza), Świdnica, Świebodzin (wykład), Tarnobrzeg (debata), Tarnów (wystawa), Tczew (kwiaty lnu), Tomaszów Mazowiecki, Tychy, Wadowice (kwiaty lnu), Wągrowiec, Wieluń, Włoszczowa, Wołów, Wschowa, Zamość (kwiaty lnu), Zbąszyń (wystawa), Zduńska Wola (kwiaty lnu), Zgierz, Zgorzelec, Złotów, Żary, Żyrardów (marsz). W Chełmie (woj. lubelskie) do 2027 roku ma powstać Muzeum Ofiar Rzezi Wołyńskiej – Centrum Prawdy i Pojednania im. prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Na 335 miasta powiatowe (bądź na prawach powiatu) w Polsce uroczystości odbyły się w co najmniej 131 miastach.

Mieszkańcy Śremu Wlkp. Złożyli petycję do władz miasta o stałe upamiętnienie ofiar w mieście. W przypadku Garwolina i Gorlic uroczystości się nie odbyły, co spowodowało oburzenie mieszkańców. W Szczecinku władze miasta odmówiły zgody na rozwieszenie plakatów informujących o marszu żałobnym w Warszawie.

Nowe wydawnictwa IPN:

- Zbrodnie Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii na Kresach Południowo-Wschodnich II Rzeczypospolitej (1939–1945). Studia i materiały, wstęp i red. T. Bereza
- Dokumenty Zbrodni Wołyńskiej, t. 1, red. L. Popek, E. Gigilewicz, T. Zych, P. Sokołowski
- Kościoły i kaplice na Wołyniu z obrazami Włodzimierza Sławosza Dębskiego, E. Gigilewicz, L. Popek
- Zbrodnie wołyńska w świetle prawa międzynarodowego, T. Turajko. Praca magisterska nagrodzona w XII edycji Konkursu im. Władysława Pobóg-Malinowskiego na Najlepszy Debiut Historyczny Roku w zakresie historii najnowszej
- Ocaleni z ludobójstwa. Wspomnienia Polaków z Wołynia, J. Karbarz-Wilińska, B. Januszewski
- „Biuletyn IPN” nr 7-8/2023 w całości poświęcony rocznicy Zbrodni Wołyńskiej

Listy zebrane i zestawione na podstawie źródeł prasowych i internetowych – mogą być niepełne (szczególnie w zakresie miast niebędących miastami powiatowymi), m.in. z uwagi na brak informacji z takich dużych ośrodków Kresowian, jak np. Trzebnica, Oleśnica, Piła czy Żmigród. Osoby mające informacje na temat innych obchodów prosimy o kontakt z redakcją.

Bruno Brożyniak
Wrocław

Dzieciaki na wojnie (wspomnienia czortkowianina)

Cz. IX

Rozdział IX

Zaloty przez głośniki

Niemal naprzeciw naszego domu w Obornikach mieszkała sympatyczna rodzina Gruszków. Mama, prawie zawsze uśmiechnięta, rządziła sobie w domu, tata był mechanikiem samochodowym i rządził na podwórku. Ponieważ w rodzinie były same córki, ich tata nieraz angażował je jako pomocników przy naprawach aut. Jasne, że nie było im to w smak, ale co miały robić, gdy tata ostro wywołał na podwórko i kazał pomagać przy remontach. A były to nieraz mocno wyeksploatowane pojazdy z wojskowego demobilu, więc roboty przy nich było co niemiara.

Z gromadki córek wpadła mi w oko Teresa – wesółka, energiczna brunetka, zgrabna, jak młoda sarenka. Najpierw były okazyjne spotkania, rozmowy, a potem zacząłem się zalecać po swojemu. Z Bogusia, mego braciszka, zrobiłem swego rodzaju Amora – posłańca serca. Przez niego posyłałem urodziwej sąsiadce a to kwiatki, a to krótkie liściki lub wierszyki z serdecznymi wyznania-
mi. Wyglądało, iż Teresie podobają się te umizgi nastolatka. Czasem wpadała do nas na sąsiedzkie pogaduszki, lubiła porozmawiać sobie z naszą mamą, ale chętniej spotykaliśmy się poza domem.

Po szkole pełniłem zaszczytne obowiązki pastuszka naszej krowy żywicielki. Któregoś dnia Teresa niespodziewanie odwiedzi-

ła mnie na przygodnym pastwisku na skraju miasta. Wyglądała ślicznie, zwiewnie, niczym jakaś królewna z bajki. Gorąc uderzył mi do głowy, zamilkłem na dłuższą chwilę, a potem... zacząłem Teresie streszczać wziętą na pastwisko książkę. Była to jedna z powieści Kraszewskiego, bo bardzo zajmowała mnie historia. Teresa słuchała, słuchała, a w końcu znudzona rzekła:

– Och, przypomniałam sobie, muszę odrobić lekcje, mam dużo zadanego do domu.

„Czyś ty Runek zdurniał? Coś ty narobił tymi gadkami historycznymi! Głupi nudziarz jesteś i tyle!” – wałęnałem bezgłośnie mowę do siebie.

Teresa bardzo mi się podobała, wymyślałem niejeden raz różne preteksty do spotkań, a potem zanudzałem ją jakimiś gadkami, streszczeniami książek. Jak wspomniałem, Oborniki leżą malowniczo wśród pagórków i lasów. Niejeden raz wypuszczaliśmy się na romantyczne spacerunki po leśnych drożynach. Żartowaliśmy, chłoniliśmy urodę i przyjazny spokój lasu i na tym kończyły się te spacerunki. Bywało i tak: idziemy sobie leśną drożyną, ptaszki ćwierkają, ja też coś tam ćwierkam, czasami tuż przed nosem przebiegnie nam wiewiórka albo w oddali z trzaskiem łamanych gałęzi przemknie stadko dzików. Spacerujemy, spacerujemy, a ja spinam się w sobie, że najwyższy czas pocałować się z moją sympatią.

„Zrobię to za tym zakrętem, bo tu jest polana, jeszcze nas ktoś podpatrzy. Przytulę się do Tereski za tym rozłożystym dębem. Tak, tak, za dębem. Nie, raczej za tą kępą leśnych malin. E, tam, chodźmy dalej. A teraz opowiem jej o zwyczajach dawnych Słowian albo o bohaterskiej obronie Niemczy, albo dlaczego na Germanów mówimy Niemcy. To przecież ciekawe – Niemiec mówił, coś tam szwargotał, a jakby nie mówił, czyli Niemiec był z niego”. Przygotowałem sobie opowieść, ale Teresie znudziło się już dreptanie po lesie.

– Wracajmy do domu, tata będzie zły, że tak długo mnie nie ma, bo trzeba naprawiać jakieś auto, klucze podawać, błotniki przytrzymać. Dziewczyny, do roboty! Już to słyszę!

Wróciliśmy do domów, a ja rozmyślałem, jak przełamać swoją skrzętnie skrywaną nieśmiałość. I wtedy wpadł mi do głowy ten pomysł z głośnikami. Przecież mam kolegę majsterklepkę, który mi radyjko zmontował, to chyba da sobie radę. Zbyszek Jaskółowski, bo o nim tu mowa, najpierw był zaskoczony moją prośbą, ale po paru dniach wpadł po szkole i zaczął szczegółowo wypytwać, o co mi chodzi.

– No, rozumiesz. Jakieś mocne dwa, trzy głośniki, do tego mikrofon, no i kable od domu do płotu.

– Głośniki to nawet mam, mikrofon trzeba będzie skombinować...

– A kable?

– O druty musisz zadbać sam. Powiem ci, jakie są potrzebne, a ty dobrze wymierz metraż od domu do płotu.

Trochę trwało, zanim to wszystko zebraliśmy. Jaskółka był szefem „brygady” radiotechnicznej, a ja pomocnikiem. Posłusznie wykonywałem jego polecenia. Za pierwszym razem zupełnie nie wyszło, głośniki buczały, potem basowały, że trudno było zrozumieć ludzką mowę. Wreszcie huknęły całą mocą, aż jakiejś kobiecie, idącej właśnie chodnikiem, z wrażenia torba wypadła z ręki. Inni przechodnie przystawali ze zdziwieniem, sądząc, iż są nadawane jakieś urzędowe komunikaty. A zamiast tego słyszeli:

– Ludzie! Po drugiej stronie ulicy mieszka ładna dziewczyna! Po prostu śliczna! Takiej w życiu nie widzieliście! Halo, halo! Teresko, podejdź do okna, pokaż się, to ja, Runek! Uwaga, uwaga! Komunikat specjalny! W domu naprzeciwko mieszka piękna panna Teresa!

Z mikrofonem w ręku nabrałem odwagi, przestała mnie pętać wstydliva nieśmiałość w sprawach sercowych. Dudnienie głośników zostało w końcu usłyszane tam, gdzie trzeba. Teresa wyjrzała przez okno, chwilę słuchała głośnikowych adoracji, a potem rozeźlona wpadła na nasze podwórko.

– Co ty robisz jakieś widowisko?! Ja sobie nie życzę! Wyłącz to natychmiast! To jakieś dziecinne wygłupy!

Teresa nie tylko nakrzyczała na mnie, ale poszła na skargę do naszej mamci. Gdy mama wyszła na podwórko, my z Jaskółką

już zwijaliśmy ten cały majdan. Ale fakt pozostał faktem, iż w Obornikach byłem jedynym, któremu do głowy przyszedł postrzelony pomysł, aby przez głośniki zalecać się do ładnej sąsiadki.

Gdy skończyłem szkołę podstawową i zacząłem dojeżdżać do ogólniaka we Wrocławiu, spotkania z Teresą stawały się coraz rzadsze. Z czasem każde z nas poszło swoją drogą, założyło własną rodzinę. Pozostały w pamięci spotkania dwojga nastolatków i ta moja nieporadność w okazywaniu uczuć, którą usiłowałem przełamać głośnikami z wojennego odzysku. Cdn.

Józef Zbigniew Siegel

Warszawa

Saga klanu Siegelów

Cz. V

VI. Wyszalenie, czyli „repatriacja”.

Z początkiem roku ‘44 stało się jasne, że niedługo ruski front dotrze do Czortkowa. Nasilały się też zbrodnicze akcje UPA wobec Polaków na Kresach Wschodnich, było coraz niebezpieczniej. Zdecydowano, że kobiety i dzieci wyjadą do rodziny dziadzia w Bochni, gdzie było znacznie spokojniej. Do wyjazdu przygotowywano Ludwikę, czyli Wisię, Krystynę – córkę Feliksa i Walerci i mnie, czyli Zbyszka-Józefa. Wanda wyjechała kilka miesięcy wcześniej i była już w Łazach u państwa Flasińskich, czyli u Juli – siostry Feliksa Budysia. Do wyjeżdżających dołączyła cioteczna siostra, Stasia Majkowska-Adamczkowa. W domu mieli pozostać: ojciec Jan, dziadzio, syn Wilhelm, zięć Feliks Budyś z żoną Walerią oraz jego brat Paweł. No i córeczka Budysiów, Amelia, czyli Muszka. Wyjazd z rodzinnego Czortkowa nastąpił 8 marca 1944 roku. Nie wiedzieliśmy, że był to wyjazd ostateczny. Jazda pociągami osobowymi trasą podkarpacką z sześcioma przesiadkami trwała pięć dni i wiodła przez Stanisławów, Stryj, Sambor, Jasło, Nowy Sącz i Tarnów.



*Ludwika - Lusja Budyś,
przyszła żona Wilhelma
Siegela*

W nocy 8/9 marca nasz pociąg minął bez przystanku spaloną przed czterema dniami stację Korościatyn, gdzie UPA zamordowała obsługę stacji oraz Polaków z pociągu stojącego na tej stacji. Niedługo potem, przed Stryjem mijaliśmy wioskę o nieznanej nazwie, gdzie trwała rzeź Polaków. Pociąg zwolnił bieg i przez dłuższą chwilę można było obserwować płonące zabudowania, biegnących ludzi - jak w filmie, tylko że dramat rozgrywał się niestety w rzeczywistości. Kilku młodych ludzi zdążyło wskoczyć do naszego pociągu. Banderowcy nie odważyli się nas zaatakować. Pociąg miał w składzie tzw. „urlaub Zug”, czyli wagon z urlopowanymi żołnierzami. W tym przypadku byli to żołnierze węgierscy jadący z frontu wschodniego na Węgry. W czasach wojennych tacy żołnierze byli uzbrojeni. Bez Węgrów najprawdopodobniej spotkałby nas los Polaków z Korościatynia. Tylko szczęście pozwala czasem uniknąć śmierci. Na stacji Sambor rozmawialiśmy z uratowanymi ludźmi, którzy znaleźli schronienie w naszym pociągu. Następna przesiadka to Krosno, dalej Nowy Sącz, a ostatnia to Tarnów. Stąd już tylko „żabi skok” do stacji przeznaczenia, którą była Rzezawa przed Bochnią. Tu wszyscy wysiadamy, a ciocia Wisia piechotką, brnie w błocie po kolana do Łazów po wujka Józka Budysia, brata Feliksa. Po godzinie oczekiwania jest wujek Józek z pojazdem zaprzężonym w jednego konika. Panie jadą jednokonną furmanką, a my obaj tę furmankę pchamy. Jest 13 marca 1944 roku. Witają nas starzy Budysio wie, tj. Katarzyna i Jan oraz Adam Budyś – wujek Adam, Ludwika Budyś – młodsza siostra Pawła, Feliksa i Józka oraz Karol i Julia Flasińscy z synem Jerzym, ciotecznym bratem przybyłej z nami Krystyny.

Oprócz tak licznej rodziny czekała na nas kolacja, jakiej w Czortkowie od początku wojny nie jedliśmy. Dla ewakuowanej części Siegelów nastał okres pobytu na „wsi spokojnej, wsi wesołej”, jak pisał jeden z poetów, tylko dziadek Zbyszek nie pamięta który.

Do Czortkowa Rosjanie wkroczyli po sześciu tygodniach, tj. w połowie kwietnia (*źródła encyklopedyczne podają, że 23 marca 1944 r. 1 Armia Pancerna działająca w ramach 1 Frontu Ukraińskiego wyzwoliła Czortków*). Nowe władze okupacyjne zarządziły mobilizację mężczyzn w wieku poborowym do formującej się armii Berlinga (*1 Armia Wojska Polskiego*). Wilek i Paweł przeszli krótkie przeszkolenie w Sumach pod Kijowem i w lipcu 1944 roku byli już w Polsce, ale tej w nowych granicach. We wrześniu z praskiego brzegu Wisły oglądali łuny ginącej w Powstaniu Warszawy. W styczniu 1945 po zajęciu zgliszcz Warszawy I Armia ruszyła na północ. Wilek przeszedł szlak bojowy przez Wał Pomorski, zdobywanie Kołobrzegu, forsowanie Odry w Siekierkach, gdzie 4 km za Odrą pod miejscowością Wrietzen został ranny w nogę. Trafił do rosyjskiego szpitala polowego w Chojnach. 8 maja nastąpiła kapitulacja Niemiec, a Wilek swoją jednostkę odnalazł za Berlinem. Siódmy Pułk Kołobrzesci w którego szeregach służył Wilek został wycofany z Niemiec i skierowany na Zamojszczyznę do powiatu hrubieszowskiego, gdzie przeprowadzał wysiedlanie ludności ukraińskiej na wschód do Związku Sowieckiego. Wilhelm został zdemobilizowany dopiero w 1946 roku. Wraz z kartą demobilizacyjną dostał bilet do Bochni, bo przecież Czortków nie leżał już w Polsce. Paweł Budyś jako dowódca plutonu, a pod koniec wojny jako dowódca kompanii, przeszedł szlak bojowy poczynając od forsowania Wisły w lipcu 1944, dalej Wał Pomorski, udział w zdobywaniu Berlina. Koniec wojny Paweł witał nad Łabą, gdzie na drugim brzegu stali Amerykanie. Tego w żadnej oficjalnej publikacji nie znajdziecie, ale Paweł opowiadał, że kilkudziesięciu żołnierzy z jego batalionu przepравиło się przez Łabę do Amerykanów i nie muszę dodawać, że była to przeprawa tylko w jedną stronę. Z tego powodu Polaków nie dopuszczono później do oficjalnego spotkania wojsk sojuszniczych z Amerykanami. Po zakończeniu działań wojennych

jego dywizja została przeniesiona do Krakowa i przeformowana na Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego, czyli wojskową bezpiekę. Paweł został awansowany na porucznika. W 1946 roku zginął w lesie pod Wiśniczem, a okoliczności jego śmierci do dzisiaj nie zostały w pełni wyjaśnione.

Wróćmy jeszcze do Czortkowa, bo tam przecież pozostali: dziadzio Jan Siegel, Waleria i Feliks Budysio wie z dwuletnią Muszką oraz urodzoną już pod nową okupacją sowiecką w 1945 roku Ireną. Kiedy ruszyła zimowa ofensywa w styczniu 1945 rozpoczęło się zajmowanie terenów niemieckich, które zaczęto określać mianem Ziem Odzyskanych. Władze sowieckie agitowały Polaków zamieszkujących wschodnie ziemie Rzeczypospolitej do udziału w akcji nazywanej repatriacyjną (*wg słownika jęz. polskiego repatriacja oznacza powrót obywateli jakiegoś kraju do ojczyzny*), a będącą w istocie akcją wysiedleńczą. Wielu Polaków, w tym i nasz dziadzio Siegel, łudziło się, że Kresy pozostaną w granicach państwa polskiego. Niestety, coraz częściej i głośniejsze mówiło się, że wschodnie tereny Rzeczypospolitej znajdują się w Sowietach. Ostatecznie potwierdziła to konferencja poczdamska Wielkiej Trójki. Nie było zatem wyjścia i pozostała część rodziny opuściła Czortków w maju 1946 roku. Cały transport był kierowany na Dolny Śląsk, ale po trzech tygodniach tułaczkiej jazdy pociągu „repatriacyjnego” dziadzio Siegel z Budysiami odłączyli swój wagon na stacji PKP Bochnia. Wysiedleńcy mogli się tu przecież zatrzymać, czy to w Bochni, czy to w Łazach. Radości było wiele. Po koszmarze wojennym, okupacyjnym i zbrodniach ze strony Ukraińców wreszcie mogli poczuć pewniejszy grunt pod nogami. Po wysiedleniu z Czortkowa dziadka Jana do Polski w jej nowych, powojennych granicach można powiedzieć, że klan Siegelów został wstępnie „zrepatriowany”.

VII. Koniec repatriacji i nowe siedliska rodziny.

Wszystkim Siegelom z przyległościami urodzonym w Czortkowie, świat który znali od dzieciństwa i młodości usunął się spod nóg. Trudno było zaakceptować otaczającą rzeczywistość, jakżeż

różną od czortowskiej. Więzy rodzinne z konieczności ulegały rozluźnieniu. Towarzyszyła nam tęsknota za utraconym domostwem, pozostała w Czortkowie rodzina, znajomymi. Oczywiście przez pierwsze dziesięciolecia nie było mowy o tym, aby można było odwiedzić dom rodzinny, który często wracał w snach. Kiedy w latach sześćdziesiątych w ramach zorganizowanej turystyki zagranicznej stało się możliwe odwiedzenie stron rodzinnych, ktokolwiek miał możliwości fizyczne i finansowe starał się z tego skorzystać. W roku 1970 z biurem podróży „Orbis” odbyłem trasę do Odessy prowadzącą właśnie przez Czortków. I mimo tego, że ulica Szopena nie była już tak długa, jak ta, którą zostawiłem w 1944 roku, wieża kościoła Dominikańskiego nie tak niebotyczna, a już na pewno góra Jurczyńskiego też nie tak wysoka, jak wtedy, gdy wspinałem się na nią w dzieciństwie, to po kilkugodzinnym pobycie żegnałem Czortków z łezką w oku. Kiedy oglądaliśmy nasz dom przywitała nas sąsiadka pani Borowska, która poczęstowała nas swoimi pączkami z kremem różanym, których smak moje dzieci Joanna i Piotr pamiętają do dziś.

Po pewnym okresie spędzonym w Łazach wśród gościnnych bliskich i dalszych krewnych, ojciec Jan udał się koleją do Nysy, gdzie Ludwika – Wisia znalazła już pracę i mieszkanie. Mając kartę repatriacyjną mógł korzystać z czynnych państwowych środków komunikacji uruchamianych na tzw. Ziemiach Odzyskanych.

Po niedługim czasie dziadzio znalazł w Nysie opuszczoną, małą, poniemiecką fabryczkę kafli. Bez wątpienia zaprowadził go w to miejsce instynkt mistrza kaflarskiego. Przy pomocy kilku przygodnie spotkanych Polaków podjął się jej uruchomienia. Jeżeli dziadzio miał jeszcze jakieś złudzenia co do realiów życia w nowej Polsce, to wówczas zostały one gruntownie osłabione. Organizujące się władze Polski Ludowej zwalczały już w załączku prywatną inicjatywę, o rozwoju prywatnej kapitalistycznej fabryki nie wspominając.

W tej sytuacji Jan Siegel, mając listowny kontakt z Kazimierzem Koperem wyjechał do Szczecina. Był rok 1947. Podróż trwała kilka dni.



Jan Siegel – głowa rodu

Dziadek zaczął organizować w Szczecinie Spółdzielnię Budowlaną o nazwie „Portal”. Tu po raz kolejny władza ludowa dobitnie wskazała Janowi w jakich realiach żyje. Jak tylko spółdzielnia zaczęła dobrze działać, Polska Ludowa upaństwowiła spółdzielnię zamieniając ją na Szczecińskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego – SPBP działające zresztą do dziś. W tym SPBP dziadzio pracował do 1951 roku. Po zwolnieniu z firmy, którą współtworzył, już prywatnie pracował dalej przedstawiając piece znajomym. Ostatni piec przestawił będąc

w wieku 85 lat. Zmarł 5 września 1969 roku mając 89 lat, będąc sprawnym fizycznie i interesując się do swoich ostatnich dni polityką i życiem kulturalnym Szczecina. Został pochowany na szczecińskim cmentarzu „Ku Słońcu”. Cdn.

Emilia Głowacka

Bukowiec pow. Międzyrzecz

spisał Andrzej Chmielewski

Musieliśmy uciekać z naszej pięknej Ukrainy

Urodziłam się 15 października 1936 roku w Złotnikach, powiat Podhajce w województwie tarnopolskim. Ojciec Marian Medyński był krawcem. Matka Jadwiga (z domu Sawka) prowadziła dom i zajmowała się piątką dzieci. Przed wojną w naszym miasteczku mieszkali Polacy, Ukraińcy i Żydzi, były też inne narodowości, nie było żadnego znaczenia, kto jest jakiego pochodzenia. To była dość duża miejscowość z posterunkiem policji i sądem. Wszy-

scy żyli w zgodzie. Dużo małżeństw było mieszanych. Ludzie żyli obok siebie w zgodzie. Wojna to wszystko zmieniła, najpierw te tereny zajęli Rosjanie, później Niemcy. Miejscowi Ukraińcy przyłączyli się do Niemców lub w lasach tworzyli partyzantkę. W lutym 1944 roku doszło w mieście i okolicy do dużego pogromu Polaków, zamordowano wtedy około stu Polaków, w tym mojego stryjka, brata ojca, Władysława Medyńskiego, który był weterynarzem. Wójt i ukraińscy policjanci zabrali go z ulicy i zastrzelili w jego gabinecie. Podczas tych zajęć uciekł też miejscowy proboszcz, ksiądz Drożyński (ks. dr Wilhelm Dorożyński - autor), ukrywał się w okolicznej wsi Pantalicha, gdzie mieszkali sami Polacy. Wikariuszem był Ignacy Tokarczuk (w latach 1942-1944 - autor), obecny arcybiskup Przemyśla. Ludzie opowiadali, że w tym czasie akurat odprowadzał mszę, jak przyszli go ostrzec, że Ukraińcy mordują Polaków i on jest na liście. Już nie dokończył mszy i też ukrył się, a później wyjechał do Lwowa.

Ukraińcy pomagali też Niemcom w mordowaniu Żydów. Większość z miejscowych Żydów zabito w jeden dzień na miejscowym żydowskim kirkucie. Tych, którzy uniknęli w tym dniu śmierci, zabrali do getta w oddalonych o około 20 km Podhajcach. W ten dzień do naszego domu przysłała cała zakrwawiona młoda Żydówka, córka naszego sąsiada krawca Hutesa. Niemcy zabili jej całą rodzinę, a ona była postrzelona. Matka umyła ją i opatrzyła, pozwoliła jej przenocować. U nas nie mogła zostać, bo ojciec był krawcem i przez nasz dom przewijało się dużo ludzi. Rano przyniosła ze swojego domu swoje rzeczy i Torę. Powiedziała matce, że nie ma gdzie się podziać i pójdzie do getta do swoich. Poprosiła matkę, żeby później przyniosła jej te rzeczy. Matka za kilka dni wybrała się do getta zanieść jej to wszystko i coś do jedzenia. Po drodze zobaczyła Niemców jadących samochodami, przestraszyła się, że znajdą u niej tą Torę i wyrzuciła ją. W Podhajcach zawołał ją znajomy Żyd, jak Niemcy zobaczyli, że rozmawia z Żydem, aresztowali ją. Zrobili jej rewizję, rozebrali do naga i wszystko sprawdzali. Kazali jej mówić pacierz po polsku i po łacinie, matka знаła też niemiecki, bo kiedyś w szkołach uczyli tego języka. Jakoś się wytłumaczyła i ją wypuści-

li, ale jej zabrali to wszystko, co niosła. Jakby znaleźli u niej tę Torę, to już by nie wróciła. Tam, jak kogoś złapali, to już nie wypuszczali. Były też przypadki, że Polacy ukrywali Żydów. Nasi znajomi, rodzina Sawków, uratowali rodzinę miejscowego karczmarza Fritmana. Wojnę przeżył też nasz sąsiad, lekarz Zimmerman. Mój brat Janek, jak wracał z robót z Niemiec spotkał go w Krakowie. Był w mundurze kapitana Wojska Polskiego. Opowiedział mu jak przeżył wojnę. Razem z rodziną ukrył się przed Niemcami, ale „banderowcy” dowiedzieli się, gdzie są i ich zabrali do lasu. Jemu kazali opiekować się ich rannymi. Robił to i czym bliżej końca wojny, to przybywało rannych. W końcu byli tak osaczeni, że nie mieli co jeść, aby nie karmić zbędnych ludzi, zabili jego rodzinę. Okłamali go, że oni uciekli, ale doktor wiedział, co zrobili. Gdy nadarzyła się okazja, uciekł i wstąpił do Wojska Polskiego. Zaproponował bratu, że mu pomoże i żeby został przy nim.



Emilia Głowacka – autorka wspomnień

Latem 1944 roku, po tym jak się zatrzymał front na rzece Strypa, przez nasze tereny przeszła wojna, dla nas tragicznie, bo zginął ojciec. Zabił go wybuch granatu. Gdy główne siły rosyjskie poszły na zachód i zatrzymały się na Wiśle, nasiliły się napady banderowców. W styczniu 1945 roku doszło ponownie do jeszcze większego pogromu. To była pamiętna noc, która zostanie w mojej pamięci na zawsze. Nasz ukraiński sąsiad przyszedł po brata Ludwika i sąsiada Mieczysława Ciwierę. Oni znali się na robocie szewskiej, chciał więc, aby poszli do niego i zrobili buty dla jego syna. To był podstęp. Wcześniej wywiózł swoją rodzinę z domu. Jak byli w jego mieszkaniu, nagle ktoś zapukał do drzwi, on ich uspokoił, żeby się nie bali, bo to swoi. Byli to swoi, ale nie dla Ludwika i Mietka. Banderowcy zastrzelili mojego brata i z karabinu maszynowego ostrzelali jego kolegę. Ściągnęli z nich buty i poszli wymordować całą rodzinę Ciwierów, w sumie zabili 5 osób, a dom zrabowali i spalili, uratowała się tylko siostra jego matki Helena (mieszkała później w Bukowcu), która postrzelona uciekła oknem. Ciwiera pomimo że miał 18 ran od kul, cudem przeżył tę egzekucję (po wojnie zamieszkał w Dąbrówce Wielkopolskiej). Kiedy usłyszeliśmy, co się dzieje, ukryliśmy się u sąsiada w piwnicy. Ciwiera, jak się ocknął, najpierw poszedł się ukryć u znajomej Ukrainki, ale ona bała się go ukrywać i postanowił iść do naszego domu i osłabiony położył się do łóżka. Tej nocy banderowcy chodzili po domach i bestialsko mordowali rodziny polskie, wcześniej zabijali tylko mężczyzn, teraz ich ofiarami padły też kobiety i dzieci. Sąsiad mordował sąsiada. Kogo nie zabili, to rabowali. Podpalali domy, w mieście było słychać krzyki i wystrzały. Kto uciekł, to musiał się gdzieś schronić, bo tej nocy był mróz ponad 30 stopni. W tym czasie i w następne dni zamordowano wielu ludzi. Gdy ucichły strzały, poszliśmy do domu. Usłyszeliśmy, że ktoś jest w domu i myśleliśmy, że to mój brat, ale okazało się, że to Ciwiera. Opowiedział nam co się stało, był wielki płacz.

Tak, jak staliśmy, uciekliśmy do Rosjan na posterunek milicji, później dali nam jakąś kwaterę. Już nigdy do domu nie wróciliśmy, matka poszła tylko po krowę, dom był obrabowany ze wszyst-

kiego. Ciwierę i jego ciotkę zabrali do ruskiego szpitala. Ruscy organizowali na banderowców obławę i tropili ich po lasach. Pomagali im w tym Polacy, którym wymordowano rodziny. Jeśli w domu ukraińskim nie było męża czy syna, pytali gdzie są, jak nie chcieli powiedzieć gdzie są, bili mocno kobiety, dopóki nie wydały, gdzie się ukrywają. Banderowcy mieli w lasach całą sieć bunkrów i dobrze się ukrywali.

Ogłoszono, że będą organizowane transporty do Polski, przyjechał przedstawiciel z Warszawy i ogłosił, że na Ziemiach Odzyskanych czeka na Polaków ziemia i nowe życie. Chętnych na wyjazd zapisywano na listy. Pierwsze transporty odchodziły w lubelskie, Ruscy zawieźli nas saniami na stację do Trambowa, tam czekaliśmy 3 miesiące na swój pociąg. Mieliliśmy o tyle szczęście, że jak przyjechaliśmy, to akurat odjeżdżał transport na zachód i mogliśmy zamieszkać pod drewnianą wiatą, inni musieli czekać pod gołym niebem. Mrozy były wtedy okrutne i padał śnieg, lecz ludzie woleli czekać, niż gdzieś iść. Tam nas pilnowało ruskie wojsko. Ludzie opowiadali różne straszne historie o tym, co banderowcy robili Polakom. Były przypadki, że nabijali na płoty małe dzieci, a kobietom obcinali piersi. Jedna nauczycielka, Stefania, która czekała obok nas, opowiadała, jak chcieli ją zabić i jak zabili jej matkę. Tylko cudem w samej koszuli uszła z życiem. Chciała ukryć się u swojego ukraińskiego narzeczonego, ale on bał się jej pomóc. Biegła przez pole minowe, które było wzdłuż rzeki Strypa. Schroniła się u księdza w Sokołowie, który dał jej jakieś ubranie. Później pojechała z Rosjanami po swoje rzeczy i przywieźli ją na naszą stację. W końcu krótko po Wielkanocy podstawili skład. To był bardzo długi pociąg z bydłecymi wagonami i dwoma lokomotywami. Wśród wagonów były też takie bez dachu i bocznych ścian, obwiązane samymi drutami. Pozwalali tylko zabrać dobytek, ale przeważnie ludzie mieli niewiele. Rodzina, gdzie były dzieci, mogła zabrać krowę. Koni i innych zwierząt nie można było wziąć, bo miejsce potrzebne było dla ludzi. Musieliśmy uciekać z naszej pięknej Ukrainy, bo dla Polaków już tam życia nie było.

Wagony były przepełnione, ludzie upychali się, gdzie kto mógł. Nikt nam nie dał ani jedzenia, ani picia, tak głodni i spragnieni jechaliśmy, na zachód. Nie wiedzieliśmy, dokąd jedziemy. Od czasu do czasu pociąg się zatrzymywał, to była okazja na nabranie wody, czy ugotowanie czegoś do jedzenia. Czasem pociąg odjeżdżał tak szybko, że nawet nikt nie zdążył nic ugotować. Jechaliśmy przez Warszawę, która była jedną wielką ruiną. Pamiętam jedno takie zdarzenie, które nas ubawiło. W Warszawie wsiadła do naszego wagonu elegancko ubrana kobieta w długim płaszczu, w tym czasie tak pociągi nie jeździły i chciała się zabrać z nami do Kutna po drodze. Tylko wsiadła i oblaży ją wszy, bo cały pociąg był zawszony. Pamiętam, jak z obrzydzeniem strzepywała z płaszcza te wszy. Wszyscy się śmiali z tego, że taka pani dosiadła się do nas.

W końcu pociąg dojechał do stacji Neu Bentschen, dzisiejszego Zbąszynka, skąd Rosjanie wozami konnymi rozwozili ludzi po okolicy. Zachowywali się w stosunku do nas dobrze i uczynnie. Dużo rodzin pojechało do Trzciela. Nas zawieźli do Żydowa, gdzie byliśmy 25 kwietnia 1945 roku. Nie chcieliśmy tam mieszkać i jak wysiedlili Niemców w lipcu przeprowadziliśmy się do Bukowca. W Bukowcu już mieszkali ludzie z poznańskiego, z okolic Nowego Tomyśla i z Wielunia. Zajęliśmy ładny dom, ale wójt Guza powiedział matce, że do tego domu przepisane jest 300 ha ziemi i pewnie nie da sobie rady na tylu hektarach. Matka uwierzyła w to i wyprowadziła się. Zamieszkaliśmy w innym domu, tam dostaliśmy 10 ha. Oczywiście nie była to prawda, a na nasz dom był inny chętny. W 1966 roku wyszłam za mąż za Tadeusza Głowackiego. Mieliliśmy czworo dzieci. Uprawialiśmy ziemię i jakoś się żyło. W 2006 roku pojechałam w swoje rodzinne strony, wiele się tam zmieniło i w domu w którym mieszkalam, mieszka rodzina ukraińska. Przypadkiem spotkałam też syna tego Ukraińca, którego ojciec brał udział w zabójstwie mojego brata. Twierdził, że jego ojciec niczemu nie jest winien. W ogóle jak rozmawiałam z innymi Ukraińcami, to oni za wiele nie wiedzą co tam się działo. Jedno się nie zmieniło – nadal jest tam pięknie.

Z relacji ks. Ignacego Tokarczuka złożonej dla Kurii Metropolitalnej Lwowskiej z 28.03.1944 roku [w] ks. Józef Wołczański, *Eksterminacja Narodu Polskiego i Kościoła Rzymskokatolickiego przez ukraińskich nacjonalistów w Małopolsce Wschodniej, w latach 1939-45*, Materiały źródłowe, Kraków 2005.

„Do 19 lutego 1944 w parafii Złotniki nie było jeszcze żadnego morderstwa, tylko coraz częstsze napady rabunkowe (...) W nocy z 19 na 20 lutego zorganizowano napad na kilka rodzin w Sosnowie (...) Najdłużej walka trwała u Franciszka Czarneckiego i Józefa Czarneckiego. U pierwszego np. mieszkanie zdobywano przez kilka godzin, posługiwano się granatami, bronią automatyczną. W końcu podważony sufit spadł razem z obrońcami. Zginął tam Franciszek Czarnecki – dostał kilka kul i bagnatów, Zbyszek Grodzki i Emilian Woźny. Ten ostatni, raniony najpierw, próbował jeszcze uciekać, ale go dopadli i tak zmasakrowali, że z głowy prawie śladu nie zostało (...) Wypadki w Sosnowie jeszcze bardziej wzmogły czujność u wszystkich, specjalnie w czasie nocy. Tymczasem bandyci urządzili się inaczej, napadli na Złotniki i Burkanów w dzień 22 lutego, między 8 a 9 godz. rano. Było ich około 50 sań, a więc daleko ponad 100 osób, większość z nich w mundurach niemieckich, zielonych okularach. Mieli sporządzoną listę i wedle niej mordowali. Stało się to tak nagle i równocześnie na wszystkich ulicach, że tylko niektórym proskrybowanym udało się ocaleć.

Ofiary strzelano, ubrania rabowano. (...) Razem [zamordowano] 15 mężczyzn. Szukali za księżmi także. Ks. adm. Dorożyńskiego Wilhelma nie było wtedy w Złotnikach, a ks. wikary Tokarczuk Ignacy uratował się wprost cudem. Byli u niego w mieszkaniu, ale nie zastali, po tym tłukli się za nim wszędzie. (...) Napad skończył się o godz. 11 rano (...) Policja ukraińska w Złotnikach na czas napadu ulotniła się. Opinia publiczna odpowiedzialność zwała na organizacje ukraińskie z okolicznych wsi, z którymi współpracowali swoi. Sprawozdanie obejmuje wypadki do 23 lutego 1944 r. Póź-

niej, co pewien czas powtarzały się napady i mordy, ale nie w tak wielkich rozmiarach (...)"

Franciszek Józków

17 września 1939 r. w Chorostkowie i Kopyczyńcach

Od redakcji: niniejszy tekst jest częścią ponad 70 stronicowych wspomnień Franciszka Józkowa z lat 1914-1945. Opracowane zostały one przez jego syna Tadeusza w 2006 r. W kolejną rocznicę tragicznego września 1939 publikujemy fragment dotyczący tamtych dni. Pisownię zostawiono oryginalną na dowód regionalizmów w mowie mieszkańców Podola.

Rok 1939. 17 września. Jest niedziela rano. Wszystko ruszyło przez Zbrucz do Polski i to dość. Jakby dwadzieścia na jednego. Widziałem na sam przód czołgi. Za chwilę konnicę. Wszystko ze Samołuskowiec przez łąki obok mojej, w stronę zachodu. Widziałem na koniu, nie wiem, czy na pewno, ale wydawał mi się małoletni chłopczyzna na gniadej kobyle, bez siodła, no tylko koc miał pościelony, bez strzemion, ze zwykłych sznurków zrobione strzemiona. Czołgi i konnica na przełaj, a samochody z wojskiem gościńcem. Na szosie z Husiatyna do Kopyczyniec warkot czołgów i samochodów nie ustawał cały dzień.

Jest godzina może dziesiąta. Troszeczkę porosił deszcz, ale mało. Nawet prochu dobrze nie skropił. Wyszedłem z mieszkania. Mam zamiar iść do Chorostkowa. Wyszedłem koło bramy i widzę, że na rozdrożu taksówka czeka. A ja zawsze ciekawy, wolnym krokiem podchodzę. Niby mnie nic nie w głowie, idę od bramy do gościńca. Z taksówki ktoś ręką macha i woła mnie do siebie. Przyszedłem do niego, a on mówi do mnie po polsku: „Dzień dobry.” Pyta się czy dobrze jedzie na Chorostków. Powiedziałem, że dobrze. Ja poznałem, że to nie jest Polak i nic nie ma wspólnego z Polską. Odjechał w kierunku wsi Uwisły. Tylko się po nim ślad dobrze odbił. Ja oglądałem, czy wszystko w porządku w stajni. Podkarmiłem bydło

i udałem się do Chorostkowa. Ponieważ w Chorostkowie urodziłem się, ciekawy byłem, co się tu dzieje. Chodzę, wszędzie pełno ludzi. Oglądają nowo przybyłych *przyjacieli*. A przyjaciele *dziewili* się, dlaczego tyle ludzi *darmuje*, nic nie robi. Dziwnie im było, a nasi ludzie *jim* *dziewili* się, że oni pytają, U nas było tak: kiedy chciał, w ten czas pracował, a jak nie chciał – nie pracował. A niedziela i święto są wolne od pracy. W Chorostkowie posiedziałem parę godzin. Przed wieczorem wracam do domu. Już nie ma Polski, ni we wsi, ni w mieście.

Na drugi dzień, to jest poniedziałek, wstaję rano. Robota nie *bieży* się, a jest po deszczu. Mam zamiar iść do Kopyczyniec dowiedzieć się, co nowego. Wyszedłem z domu przez pola. Wojsko sowieckie bez przerwy na zachód jedzie. Widać z daleka. Podchodzę pod las w Kopyczyńcach. Ruch na szosie niezwykły. Widzę, że wiozą dużo wojska polskiego i wszyscy, co na wozach byli ranni. Widziałem jednego oficera ułanów. Miał obandażowaną głowę. Rannych było ze trzydziestu. Idę dalej do rynku, wchodzę na ulicę Jabłonowską. Tłum ludzi, a politruki już odprawiają, Tłumaczy swoje, objaśnia ludziom, przedkłada słuchaczom wszystkie założenia radzieckie na przyszłość. Ludzie słuchają i ja słuchałem. Obok przechodziła, nie wiadomo, panna czy mężatka, lat może 20-22. Widać, że *dobrzy* *otrzymywała* się. Ogólnie ładnej budowy. Jasna blondynka. Zrównała się z nami, i ów politruk zwrócił uwagę na nią. Nie zatrzymywała się owa pani. Poszła dalej, ale tak wszyscy zwrócili na nią *okim*. Politruk to zauważył i mówi: „*Krasawica.*” A jeden z naszych słuchaczy, młody, lat może 19, również ładnej budowy, ale nie miał napisane na czole, czy jest Polak, czy Ukrainiec. I mówi na nią głupstwa. Politruk zmierzył oczyma i chwilę nic nie mówił. A później rzekł do tego chłopca: „*To u was jeszo tak howariat? A chtotiebie tak nauczył? Mat? Nawyrno mi na żeńszczynu ta skazat. Czy ty jijoznajesz?*” I ja pierwszy przyznałem temu politrukowi rację, że ten może 19-letni chłopiec nie miał dobrego wychowania. Ów młodzieniec myślał sobie, że to głupstwami zdobywa się bohaterstwo.

Poczekalem jeszcze chwile. Po chwili odszedłem od politruka i słucham, jak mówią, że gajowy zabił „*krasnowa bajca*”. Masa ludzi czekała ciekawa, jaki będzie pogrzeb. I ja chcę widzieć pogrzeb, ale później. Na razie chcę widzieć, co dzieje się koło Sokolni. Przecież w tej Sokolni, nie raz ni dwa byłem na różnych zebraniach. Nawet w 1938 roku byłem na zebraniu, na którym zdawali sprawozdanie ze swoich założeń na przyszłość. Był mianowicie projekt budowy nowego budynku, który miał służyć celom społecznym, organizacyjnym. Miał powstać na rogu ulic: Jabłonowskiej i Chorostkowskiej.

Zbliżam się bliżej Sokolni. Coś dymi się. Co jest? Co pali się?

Rzeczywiście palił się stos książek. Nie ma kogo zapytać się, kto te książki zapalił. Pytam jednego ze znajomych. Nic nie wie. Wszyscy przyglądają się tłącym książkom. Wszyscy milczą, ale że to polskie książki paliły się, sam domyślałem się. Nie chcieli po sobie śladu zostawić i tajemnicy wykryć. Wróciłem znów na ulicę Jabłonowską. Idę w kierunku szkoły i jednocześnie podsłuchuję, co kto mówi. Mówili, że w szkole są polscy żołnierze. *Chcem* zajść zobaczyć *jich*. Obok szkoły, od wschodu, kupa ładownic, pasów, różnych przyrządów wojskowych, lornetek, notesów, notatek, raportówek oficerskich. A w szkole wojsko. Oglądam jednego żołnierza, w wieku około 45 lat, dość dobrze zbudowanego o szerokiej twarzy, czole wysokim. Leżał z zabandażowaną szyją. Pytam: „*Z jakiego pułku?*” Widzę, że jest oficerem. Odpowiada, że z 40 pułku piechoty we Lwowie. Odpowiadam, że mam szwagra w 40 pułku zawodowym, że pracował w Komisji Gospodarczej pułku. Odpowiada: „*Znamy, ale on miał kompanię i poszedł na północ, a ja poszedłem za wschód i znalazłem się w Kopyczyńcach.*”

I tak mówię do tego starszego żołnierza - nawet nie pytałem, jaki ma stopień oficerski: „*Niech pan wstaje i zmiata*”. I pomału, pomału wysunął się i już go nie ma. Podepchali mu marynarkę cywilną. „*Już. Ma pan rację. A co słyszeć w mieście?*” „*Niedobrze – mówię - wszystkich was zabierają po kolei do Rosji.*” Godzina

moży 10 przed południem, a żołnierz jeszcze nic nie jadł. Wyszedłem i przyniosłem kilka bułek.

Źle, smutnie. Wychodzę ze szkoły. Pogoda zmieniła się. Deszcz rosi. Zrobił się szum. Co tam? „*A widzicie, ano tam idą z Jabłonowa. Prowadzą dużo jeńców polskich. Wszystko idzie na-przeciw nich. Moży kogoś się pozna.*” Tak jest, idą. Idzie wojsko i żandarmeria. Idzie nasz znajomy posterunkowy, jeden, drugi, *kil-koch* znajomych. Idzie Pękoś, Konopelski i Tadzio Myślecki i kapitan straży pożarnej z Chorostkowa. Chciała moja sąsiadka przystąpić i dać parę jabłek. „*Odejdi!*” – mówi. No tak. To zawsze się tak robi, bo przy jabłku mogłaby coś dać innego, jakąś minę. Poszli biedacy przez miasto. Minęli kościół i dwie drogi za apteką, w prawo do Czortkowa, i w lewo przez Wasylkowce do Husiatyna i do Rosieji.

Ale Tadzio Myślecki żyje. Kapitana straży po tygodniu puścili. Z resztą nie wiadomo, co się stało.

Po drodze idę do domu. „Rozmawiamy” już ostrożnie. Idziemy razem Polacy i Ukraińcy. Ukraińcy: „*Na dwoje baba woryżyła. Moży jeszcze będzie nacjonalna Ukraina, a może nie będzie, ały Polsce wże ny ma*”

(...) *Chcem* wrócić jeszcze do 1939 roku. Już częściowo o tym pisałem, o tych żołnierzach polskich, rannych i zdrowych, co zamknięci byli w szkole w Kopyczyńcach.

1939 rok. Zdawało mi się, i tak samo ludzie mówili, że liście na drzewach dość długo są zielone i nie oblatywały. Śnieg wcześniej spadł jak nigdy w tych okolicach, i to dużo na te zielone liście. Nikt się nie spodziewał. Nawet nie zanosilo się na śnieg. Pewnego poranka obudziłem się. Patrzę. Co tak widno na dworze? Patrzę przez okno, a na *mojich* jabłoniach śnieg. Gałęzie powyginane prawie do samej ziemi. Na jednej jabłoni, co rosła na rogu, było kilka jabłek. Gałęzie tuż, tuż do ziemi powyginane pod ciężarem śniegu. Ja *czem* prędzej wzięłem buty na nogi i płaszcz na siebie, na koszulę i lecę ratować młodą jabłoń. Jeszcze dwa kroki i... na *mojich* oczach rozdarła się jabłoń na trzy części.

Narobiło szkody dużo wszędzie. We wszystkich sadach, ale co najważniejsze, zaczęli ludzie wróżyć, że ten wczesny śnieg coś zwiastuje. Czekali ludzie na wielką zmianę. Cała zima była śnieżna. Dużo śniegu wszędzie. Końmi ciężko było gdzieś dostać się. Spadł śnieg nie tylko na drzewa, pokrył zielone liście, mówią ludzie, również spadł na wszystko, co żywe i myśli. Zaszło słońce i nie świeci. Wojna to wojna. Ale dlaczego słońko nie świeci jak dawniej? *„Rozdarte drzewa na części i ojczyzna na części rozdarta - widzisz, czy nie widzisz - słońko nie świeci, bo śniegi padały i padały jak nigdy...”*

Śniegi nie przestają padać. Człowiek bezbronny po upadku Polski. Późną jesienią jeszcze wypuszczałem krowy paść... Było to w samą niedzielę, a już ciemnieje. Stoję koło krów i dumam. Widzę, że krowom trawa smakuje. *Bidne* krowy nic nie wiedzą, o co mnie chodzi. Krowa tyle wie, że kto ją do syta napasie, to mu się odpłaci - dobry udój będzie. Ale mnie o udój nie chodzi. Czekam, aby szczęśliwie noc przespać, a jutro, co Bóg da. Pasę krowy i jednocześnie kieruję *jich* bliżej budynków, bliżej chlewa. Bo już ciemnieje, tak, że w dal około 200 metrów nie można rozpoznać człowieka. Akurat podniosłem głowę do góry patrzę w kierunku południowego wschodu, i coś niby przeczucie mówi: patrz, *moży* ktoś idzie? Tak, idzie. Ale kto? Czego ktoś by miał iść późnym wieczorem do nas na pole? Moje „sumienie” niespokojne. Zapędzam krowy do chlewa. Krowy, jak to krowy. Jak człowiekowi śpieszy się, to w tym czasie krowa się kręci. Cichutko, bez krzyku podpędzam, bo krzyczeć na nie mam siły. Mam gardło zatkane. Strach mnie ogarnął. Kto to idzie i po co? Popędzam krowy. Są już koło stajni. Krowa ma czasu dużo, wacha wszystkie wiadra. Trąciła pyskiem wiadro z wodą, które było dla nich przygotowane do picia. Ale nie krzyczę na nie jak zawsze. Nic mnie nie miło. Wszystko „odpadło” od mojej myśli - o powiększeniu urzędów, sprzętu rolniczego, gospodarczego. Nie krzyczę na krowy. Ledwie *jich* uwiązałem i myśle, kto to idzie? Patrzę: nie jeden, a kilkunastu... Ominęli mnie, mój dom i poszli dalej do kuzyna, bo w jego mieszkaniu mieszkał Komendant Strzelców, mój podwładny ze Związku Strzeleckiego.

Odprowadziłem ich oczyma. Do góry poszli. Już ich nie widać. Na pewno i u mnie będą. Myślę –rewizija, nic więcej, zaczyna ją po kolei. Kilku poznałem, ale nie wszystkich. Ciemno. Wchodzę do mieszkania, a żona: „*Czego tak długo siedzisz na dworze?*” Nic nie opowiadam, jak to nie raz bywało. Zawsze spieszyłem się, a w tej chwili jakby „krowy chleb zjedli”. Ani słowa tylko sapnąłem ciężko, tak jak krowa, która kładzie się na ziemi. Po chwili mówię: „*Kilkunastu nadeszło z Celejowa. Nigdzie nie zatrzymywali się. Poszli w kierunku Mariana. Zauważyłem, że kilku byli z karabinami. Moży na riwiziję.*” Żona mówi: „*Jesze i do ciebie przyjdą, moży pokoleji będą szli.*”. I tak było. Niedługo trwało. Słucham już drugi raz. U Mariana psy szczekają. Na pewno wychodzą z mieszkania, a ja już nic – siedzę, jak związany. Nie chce mi się jeść, ani gadać. Dogadywać jak to nie raz, lubiłem. Siedzę na ławce w kuchence. Światło skręciłem „na ciemno” i sapię jak kowalski worek. Poznała żona, że mam zmartwienie. Ze wszystkim dała mi spokój. Zostawiła mnie samego w kuchni. Dzieci pozasypiały, a było *jich* dwoje, a sama uklękła przy łóżku i mówi pacierz.

Już i mój piesek szczeka i sąsiadów. Zaglądam przez okno czy nie widać, bo już wiem, kto to jest. Zaczynają dokuczać - myślę. Już są na *mojem* podwórzu. Wchodzą do mieszkania. Nie pamiętam ile ich weszło, ale chyba, że ze sześciu. „*Dobryj wieczir*”. „*Dobryj woczir*” – odpowiadam. „*Pryszły my do was, powidomyły, j ake je rozporiadżenia. Majety prynesty karabiny. Wsi do jednoho, tiszosty pofasowały.*” Zaczynamy rozmawiać. „*Sidajty, nestijte*” - proszę *jich*. Udaję, że się nie boję, nie poddaję się. Zaczynamy politykować. Oni swoje, a ja swoje. „*U meny karabiniw ne ma*” – odpowiadam. „*A jak ne ma* - mówi jeden z nich - *ta jak wy były prezesem strilciw i małysty karbiny*”. I zaraz drugi zaczął: „*Szo, zaczynajety widpyratysia, że ny ma. A my znajemo, szo je i Traba widaty i nawitznajemo kilko. Tamti wże si przyznały, a wy każety szczo ne ma, a lipszy po dobrij woły.*” A ja mówię: „*Budety szukały, jak znajdety to wsi zabyrety. U mene ne ma żadnych karabinów.*” *Bidaczyska* myśleli, że to *moży* nacjonalna Ukraina. Po kilku dniach dowiedzie-

li się, „*że to netuda*” i dali spokój. Więcej nie przychodzili po karabiny.

Jerzy Markowski
Wrocław

Pewne zdarzenie w Czortkowie

Otóż taka historia wydarzyła się w Czortkowie w moim życiu – pewnego dnia banderowcy dobijali się do naszego domu przy ul. Mickiewicza 63 a i to całą hurmą – chyba przyszli nas wymordować – innego celu tu nie mieli – i to dzięki Niemcom, którzy byli na kwaterze nas nie wymordowali. Gdy jedliśmy kolację, Niemcy też jedli z nami, przylatuje sąsiadka z dołu, p. Popielowa cała roztrzęsiona i mówi, że banderowcy się dobijają – krótka narada przy stole, jeden z Niemców mówi, że my pójdziemy otworzyć drzwi – dając broń ojcu i sąsiadowi stwierdził: a wy będziecie nas ubezpieczać w razie potrzeby.

Gdy Niemiec otworzył drzwi – i jak ten dobijający się do drzwi zobaczył Niemca, zasalutował i pyta – tu mieszkają Niemcy?, a on odpowiedział: jawohl, no i Ukraińiec odszedł od drzwi.

To widziałem na własne oczy – bo na zakręcie schodów klatki schodowej była taka luka, jakby małe okienko bez oprawy – prosto na drzwi wejściowe do domu i ja widziałem. Do dziś pamiętam tego Ukraińca ubranego w mundur niemiecki połowy i miał taką czapkę też polówkę, było też widać tę hurmę na podwórzu.

Pamiętam również jak ojca mojego, Kazimierza Markowskiego, Sowietci przyszli nocą aresztować w 1941 r. po powstaniu czortkowskim, jeden Sowiec do drugiego mówi *tisze, bo rebionka spiat* tj. cicho bo dzieci śpią – było to ulicy Bocznej 2.

Również pamiętam, jak ojca aresztowali Sowietci w 1944 r. 20 października na same imieniny mojej siostry Iny, przy ul. Mickiewicza 63, a pamiętam też tę rewizję, jak ojciec zbłądł w momencie, gdy ten, który aresztował tatusia – nazywał się Licha-

rew– robiąc rewizję zastanawiał się stojąc przy kredensie i macał przesuwając palcem po tej listwie kredensu przy podłodzie, a tam była właśnie skrytka i dokumenty, broń. Jak on trochę odszedł od kredensu, ojciec pyta, *zdieśuże*, a on odpowiedział „tak”, wtedy tatuś szurnął stołem na kredens, zasłaniając to miejsce, żeby jemu znów nie przyszło do głowy, że tam może być coś ukrytego. Pamiętam też, jak mamusia dała mu już później w czasie śledztwa, żeby ojca wypuścili, złoty zegarek, który był właśnie tam był schowany i on się dopytywał, gdzie ten zegarek był jak robił rewizję. Mamusia powiedziała, że w szufladce szafki nocnej przy łóżku – oczywiście, że zegarek wziął, pamiętam nawet jak ten zegarek wyglądał – był w złotej kopercie ze złotym łańcuszkiem – taki kieszonkowy. Tak, tak, były to ciężkie czasy do przeżywania.

Mamusia nasza była bardzo dzielna w tych wszystkich wydarzeniach, też jak była w domu rozpacz, gdy dowiedzieliśmy się, że mamusia mojej mamusi – nasza babcia Michalina Sołtyśik zginęła pod kołami lokomotywy w Przeworsku, jak uciekali przed banderowcami, oj wiele, wiele było różnych smutnych wydarzeń w moim życiu, jako chłopca, no cóż już jestem sam z rodziny i nikt nie powie o tym, co było.

Andrzej Grafik

Leszno

Ks. prof. Paweł Boczar (1896- 1962)

Urodził się 24 stycznia 1896 w Budyłowie, w rodzinie Pawła i Teodory z domu Łuszipińskiej. Budyłów to nieduża miejscowość nad rzeką Strypą, w pow. brzeżańskim w woj. tarnopolskim, w dawnej Galicji Wschodniej. Miał brata bliźniaka, Jana Chryzostoma. Obydwaj ochrzczeni zostali następnego dnia po urodzeniu, w miejscowym kościele pw. Najczystszego Serca Najświętszej Panny Maryi, przez ówczesnego proboszcza ks. Jana Fijałkowskiego. Dwa lata później 16 lipca 1898 r. urodził się trzeci syn państwa Boczarów, Andrzej. Chłopcy wychowani byli w rodzinie o głębokich tradycjach patriotycznych i katolickich. Rodzice zaszczepili w

młodych chłopcach szczere umiłowanie Ojczyzny, przekonanie o potędze i wielkości jej ducha opromienione religijnym spojrzeniem na świat.



Kultywowanie narodowej przeszłości i kultury chrześcijańskiej pozwoliło rozwinąć w przyszłym duchownym takie cechy jak: umiejętność poświęcenia się dla idei, skromność, pracowitość, chęć służenia innym. Szkołę powszechną ukończył w miejscu urodzenia. W 1911 r. rozpoczął naukę w c.k. Gimnazjum Wyższym w Brzeżanach. Wcześniejsza nazwa szkoły, to Gimnazjum Wyższe im. św. Jana Nepomucena. Szkoła o bardzo wysokim poziomie nauczania kierowana była w tym

czasie przez wybitnego filologa klasycznego i pedagoga dr Aleksandra Frączkiewicza. Gimnazjum to, w 1805 r. zostało przeniesione ze Zbaraża, dzięki staraniom właścicielki Brzeżan księżnej Izabelli z Czartoryskich Lubomirskiej, wdowie po marszałku wielkim koronnym, która ofiarowała rządowi pomoc w formie dotacji. Księżna Lubomirska znacznym kosztem wybudowała pośrodku rynku piętrowy budynek z wieżą, w którym mieścił się ratusz. Poza tym, od strony zachodniej, pięć sal w tym budynku, przeznaczonych było dla gimnazjum. Paweł Boczar zdał w tym gimnazjum maturę w 1914 r. W tym samym roku rozpoczął studia w Arcybiskupim Seminarium Duchownym we Lwowie i równocześnie na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu im. Króla Jana Kazimierza we Lwowie, gdzie odbywała się formacja intelektualna seminarzystów. Miasto Lwów wywarło na nim niezapomniane wrażenie. Uniwersy-

tet Lwowski słynął ze znakomitej kadry profesorskiej i z bardzo wysokiego poziomu nauczania. Uczęszczał na wykłady m.in. z filozofii, etyki, teologii, dogmatyki i historii kościoła.

17 maja 1919 r. uzyskał absolutorium, a święcenia kapłańskie przyjął trzy dni później, 20 maja, z rąk arcybiskupa Józefa Bilczewskiego, profesora zwyczajnego teologii dogmatycznej, rektora Uniwersytetu Lwowskiego, o którym papież Pius XI powiedział, że był jednym z najwybitniejszych biskupów swojej doby. Ks. Boczar, młody kapłan, rozpoczął swoją pracę jako wikary, katecheta i administrator parafii św. Marka w Warężu k/Sokała w województwie stanisławowskim. Tu też doszedł do przekonania, że jego drugim powołaniem jest praca nauczycielska. Od 1922 r. pracował jako katecheta i etatowy nauczyciel religii i historii w Prywatnym Gimnazjum im. Z. Krasieńskiego, typu neoklasycznego, na prawach państwowych w Dolinie w woj. stanisławowskim. Pełnił również funkcję wikarego w miejscowej parafii. Z nowym rokiem szkolnym 1924/25, rozpoczął pracę w Państwowym Gimnazjum im. J. Słowackiego w Czortkowie jako prefekt, nauczyciel etatowy religii. W roku szkolnym 1927/28 otrzymał bezpłatny urlop z Ministerstwa Wyznań Religii i Oświecenia Publicznego celem umożliwienia mu podjęcia, w tym czasie, pracy w Polskim Prywatnym Gimnazjum Koedukacyjnym w Borszczowie w woj. tarnopolskim.

Od 24 października 1932 znów w Czortkowie. Tu podjął pracę w Liceum i w Seminarium Nauczycielskim. Wykładał religię, etykę, historię Kościoła, liturgię i śpiew kościelny¹.

Za zasługi dla szkolnictwa ks. Paweł Boczar odznaczony został medalem brązowym „Za długoletnią służbę”.

Był moderatorem Sodalicii Mariańskiej i kapelanem Koła Przyjaciół Harcerstwa w Czortkowie (ZHP– Okręg Lwów). Sprawował funkcję kapelana Hufca Harcerek i Harcerzy w Czortkowie. Był też opiekunem Koła PCK.

Jako człowiek niezwyklej inteligencji i wiedzy, swoją indywidualnością nadawał ton całemu otoczeniu.

¹Sprawozdania Dyrekcji Państwowego Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Czortkowie za lata 1929/30, 1935/36 – 1937/1938

Jego głęboka erudycja nie zamykała się w ramach umiłowanej teologii, filozofii i etyki, których był znawcą pierwszorzędny i cenionym. Wielkim czytaniem i znajomością rzeczy zdobył sobie niekłamany szacunek uczniów i grona nauczycielskiego. Wystąpienia ks. Boczara na radach pedagogicznych i konferencjach słuchane były zawsze z wielką uwagą i skupieniem.

Otrzymał tytuł profesora szkoły średniej, przyznawany jedynie najwybitniejszym pedagogom.

Był nauczycielem szalenie lubianym i szanowanym przez młodzież. W Czortkowie, w którym mieszkał, był również kapłanem Zakładu Sióstr Miłosierdzia.

Ks. Paweł Boczar był kapłanem i członkiem Zarządu Towarzystwa Gimnastyczno – Strzeleckiego „Sokół” w Czortkowie. Członkowie czortowskiego „Sokoła” byli poważani i popularni w mieście. Społeczność Czortkowa była dumna ze swojego stowarzyszenia kulturalnego wysoce etycznego i patriotycznego.

Kiedy Sowieci wkroczyli do Czortkowa 17 września 1939 r. zaczął się tragiczny rozdział w dziejach tego miasta, okupacja sowiecka.

Akcja eksterminacyjna prowadzona była z całą bezwzględnością. Nieustanne łapanki, aresztowania i wywózki na Syberię. Te działania doprowadziły do wybuchu krótkiego i tragicznego powstania, szybko i brutalnie stłumionego². Przystąpiono przede wszystkim do likwidacji prawdziwych i domniemyanych wrogów rządów komunistycznych, do których zaliczano zwłaszcza inteligencję i duchownych. Uwięziono wielu nauczycieli. Ks. Paweł Boczar cudownie niemal uniknął śmierci. Z uwagi na zamknięcie Za-

²Powstanie Czortkowskie trwało zaledwie kilka dni od 27 stycznia 1940 r. do pierwszych dni lutego tegoż roku. Było odpowiedzią społeczeństwa na pomysł włączenia kresowych terenów Rzeczypospolitej do „wielkiej rodziny narodów ZSRR”. Mimo, że zostało krwawo stłumione, miało wielkie znaczenie moralne dla mieszkańców Czortkowa. Przez wiele lat po wojnie było jedną z licznych „białych plam” w historii Polski. W 2005 r. w Muzeum w Bochni im. St. Fischera prezentowana była wystawa Powstańczy zryw w Czortkowie w 1940 r. Kuratorem wystawy był T. Gąsiorowski, a katalog wydany przez IPN Kraków opracował St. M. Jankowski, zob. też Jankowski St. M., Klucze do wolności, Poznań 2013.

kładu Sióstr Miłosierdzia ks. Boczar zmuszony był opuścić swoje mieszkanie. Zamieszkał u państwa Osiadaczów w ich domu przy ul. Nadrzecznej.

2 lipca 1941 r., na kilka dni przed ucieczką Sowietów z Czortkowa, ośmiu dominikanów zostało bestialsko zamordowanych przez funkcjonariuszy NKWD pod dowództwem Bluma i Nusbaum, a klasztor podpalony przez wojska sowieckie³. Pogrzeb pomordowanych dominikanów odbył się już po wkroczeniu oddziałów niemieckich, 6 lipca 1941 r., a prowadził go ks. Paweł Boczar w asyście ks. Wacława Szetelnickiego i ks. Władysława Lupy. Kościołem dominikanów opiekowali się oni do czasu przybycia nowych zakonników. Ks. Boczar kontynuował swoją posługę kapłańską udzielając ślubów i chrztów m.in. swoim byłym wychowankom i im nowo narodzonym dzieciom.

Okupacja niemiecka trwała do 23 marca 1944 r., a następnie zaczęła się ponownie okupacja sowiecka.

Ks. Boczar włączył się w struktury tajnego nauczania i kierował pierwszym kompletem uczniów.

Pięknie wspomina go prof. Franciszek Wiśmierski kierujący tajnym nauczaniem w obwodzie czortowskim obejmującym powiaty: czortkowski, borszczowski, kopczyński i zaleszczycki⁴. Jako gorący patriota angażował się w działalność konspiracyjną w Obwodowej Delegaturze Rządu na Kraj w Czortkowie, pod pseudonimem „Franciszek”. Ścisłe współpracował z szefem Delegatury, byłym nauczycielem gimnazjalnym Józefem Opackim, pseud. „Mohort”. Zbliżał się koniec wojny.

³Prawdopodobnie była to zemsta za to, że w klasztorze spotykali się konspiratorzy przygotowujący powstanie przeciw okupacji sowieckiej (styczeń-luty 1940 r.), ale też być może, jako odpowiedź na protest dominikanów przeciwko plądrowaniu i dewastowaniu klasztoru i kościoła pw. św. Stanisława Biskupa i Męczennika.

⁴Wiśmierski Fr., Z dziejów szkolnictwa polskiego na ziemiach wschodnich w okresie II wojny światowej (Tajne nauczanie w pow. czortkowskim) [w:] Przegląd Historyczno-Oświatowy nr 1/1070 s. 112

Ks. Boczar zdawał sobie sprawę, że nieuchronnie zbliża się „kres Kresów” Rzeczypospolitej. Przeprowadzona została akcja przesiedleńcza ludności polskiej⁵.

W czerwcu 1946 opuścił Czortków wraz z dominikanami o. Alanem Żbikowskim i o. Urbanem Szeremietem oraz braćmi Antonim i Januarem. Przyjechali do Żmigrodu na Dolnym Śląsku.

Ks. Boczar oddał się do dyspozycji Kurii we Wrocławiu i już 2 sierpnia otrzymał nominację na etatowego prefekta Gimnazjum i Liceum w Miliczu. W wyniku pogarszającego się stanu zdrowia wskutek ciężkich przeżyć ostatniej wojny, po kilku miesiącach zmuszony był przerwać nauczanie i udać się na leczenie. Mimo choroby próbował pracować w duszpasterstwie.

Przyjął więc kapelanę i duszpasterstwo 1 sierpnia 1947 r. w kościele Sióstr Franciszkanek od Najświętszego Sakramentu w Kłodzku (obecnie klasztor Klarysek). Jednak po kilku miesiącach z powodu złego stanu zdrowia musiał zrezygnować z tego stanowiska i udać się ponownie na leczenie.

W latach 1949-1951 mieszkał na plebanii parafii św. Bonifacego we Wrocławiu, pomagał w duszpasterstwie i równocześnie był prefektem w VI Liceum Ogólnokształcącym we Wrocławiu.

Kłopoty ze zdrowiem powróciły. Po pobycie w Szpitalu Uzdrawiskowym w Dusznikach Zdroju przybył do Żmigrodu 3 kwietnia 1951 r. Osiadł tu jako rezydent i kapelan w klasztorze Sióstr Miłosierdzia. Ks. arcybiskup dr Bolesław Kominek, jako wyraz uznania za jego długoletnią pracę odznaczył go 29 marca 1959 r. godnością rokiety i mantolety⁶. Ks. prof. Paweł Boczar zmarł w Żmigrodzie na zawał serca 14 lutego 1962 r. W pogrzebie 17 lutego

⁵Akcja przesiedleńcza nazwana była „repatriacją”, co dosłownie oznacza „powrót do Ojczyzny”, a faktycznie było to wysiedlanie Polaków z Kresów. Nowi gospodarze tych terenów, chcieli jak najszybciej pozbyć się „elementu polskiego”. Stosowano różne metody, a przede wszystkim zastraszanie. Dla Polaków życie na Kresach skończyło się. Szukali spokojnego miejsca, gdzie zaczną wszystko od nowa. (Księga Kresów Wschodnich nr 45 Wielki exodus. Przesiedlenia Polaków z Kresów Wschodnich (1944 – 1946).

⁶Pewne szczegóły w szatach liturgicznych (komża z wąskimi rękawami oraz pelerynka) podkreślające godność noszącego je kapłana

wziął udział ks. biskup dr Andrzej Wronka, który pożegnał Zmarłego mową wygłoszoną nad jego grobem. Ks. Boczara pożegnali zgromadzeni licznie mieszkańcy Żmigrodu, jego przyjaciele i wychowankowie. W pogrzebie uczestniczyło kilkudziesięciu księży. Mszę św. celebrował ks. dr Michał Białowąs, a kazanie wygłosił uczeń Zmarłego ks. kanclerz Wacław Szetelnicki. Grobowiec ks. Pawła Boczara znajduje się w centralnym miejscu żmigrodzkiego cmentarza.

Jak już wspomniano, ks. Paweł Boczar miał dwóch braci: Jana i Andrzeja. Jego bliźniaczy brat Jan Chryzostom wraz z Pawłem wstąpił do Seminarium Duchownego, ale po pierwszym roku wystąpił i dalsze jego losy nie są znane. Drugi brat Andrzej Kazimierz, młodszy o dwa lata, po ukończeniu gimnazjum pracował, przed wojną, jako kancelista w Sądach Grodzkich w Brzeżanach, Borszczowie i Czortkowie. Z żoną Kazimierą z domu Urbanowską (1905-1986) miał troje dzieci: Jadwigę zamężną Olizarczyk (1925-1980), Irenę zamężną Paradowską (1927-2010) i syna Romualda (1929-2000).

Andrzej Kazimierz Boczar wraz z rodziną opuścił Kresy prawdopodobnie w 1946 r. i zamieszkał w Stargardzie-Kluczewie przy ul. Lelewela 1. W 1948 r. przeniósł się na Śląsk Opolski do Namysłowa. Otrzymał tam rekompensatę za pozostawione na Wschodzie mienie, w postaci nieruchomości przy ul. Emilii Plater 12 w Namysłowie. Zmarł 15 sierpnia 1963 r. w Zakrzewie (pow. Aleksandrów Kujawski) i tam został pochowany na miejscowym cmentarzu parafialnym.

Być może, że na Śląsku, we Wrocławiu, Kłodzku i Miliczu, ale z całą pewnością w Żmigrodzie, żyją jeszcze osoby, które pamiętają ks. prof. Pawła Boczara, kapłana i pedagoga, a pod koniec życia rezydenta i kapelana Sióstr Miłosierdzia, którego można było spotkać w czasie większych uroczystości w Żmigrodzie w tutejszej parafii. Wśród tego pokolenia żmigrodzian są również i ci, którzy mieli zaszczyt i szczęście poznać go osobiście, tak jak i niżej podpisany. Każdego roku w styczniu i lutym mijają kolejne rocznice jego urodzin i śmierci. Warto więc wspomnieć postać tak wielką i obda-

rzoną niezwykłą charyzmą, wybitnego Polaka, duszpasterza, pedagoga i patriotę.

P.S.

Dwie miejscowości Budyłów i Żmigród spinają jak kłamrą życiorys ks. Pawła Boczara.

Urodził się w Budyłowie, zmarł w Żmigrodzie. W XIV w. właścicielem Żmigrodu był rycerz Piotr Brun herbu Nabra. Rycerz ten był w bliskim otoczeniu i wręcz domownikiem króla Kazimierza Wielkiego. Król, w ostatnim dniu życia 4 listopada 1370 r., w nagrodę za wierną służbę nadał Piotrowi, zwanemu Brun, dziedzicowi Żmigrodu, część królewskiej wsi Szczytniki, leżącej w pobliżu Krzeszowic.

Po śmierci króla Piotr Brun związany był z Władysławem Opolczykiem i był u jego boku od początków rządów na Rusi. Służąc księciu opolskiemu, Brun dorobił się znacznego majątku w ziemi lwowskiej, na który składało się kilka wsi, w tym wieś Budyłów.

ŹRÓDŁA:

Księga urodzeń parafii Budyłów, Archiwum Bp. Baziaka w Krakowie

Akta seminaryjne WSD we Lwowie, Archiwum Bp. Baziaka w Krakowie

Archiwum Archidiecezjalne Wrocław, Wykaz księży zmarłych: ks. Paweł Boczar

Papiery dot. spraw organizacyjnych i finansowych Obwodowej Delegatury Rządu na Kraj w Czortkowie z lat 1942-1945, Zakład Narod. im. Ossolińskich we Wrocławiu sygn. 16612 –16616 II.

BIBLIOGRAFIA I ŹRÓDŁA:

Czortków, oprac. A. Żarnowski, Kraków 1995

Jankowski St. M., *Klucze do wolności*, Poznań 2013

bp Leszczyński M., *Księża diecezjalni, ekspatrianci Archidiecezji Lwowskiej obrządku łacińskiego-Słownik Biograficzny IPN*, Warszawa 2020 (s. 68)

Ostrowski J. K., *Kościół p.w. św. Stanisława Biskupa i Męczennika oraz klasztor Dominikanów w Czortkowie*, (s. 117-122)

Ostrowski J.K., *Zakład Sióstr Miłosierdzia w Czortkowie*, (s. 117-122)

Przewodnik po Czortkowie i okolicy, red. J. Opacki (reprint) Brzozów 1991

Rakowski St., *Z dziejów konwentu Dominikanów w Czortkowie*, [w:] *Semper Fidelis* nr 2(12)/1998(s. 9-11)

Sprawozdania Dyrekcji Państwowego Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Czortkowie za lata 1929/30, 1935/36 – 1937/1938

Ściślak M., *Czortków w latach 1522-1946*, Wrocław 1993

ks. dr Szetelnicki W., *Parafia św. Bonifacego we Wrocławiu w latach 1945 – 1970*, Rzym 1970, (s. 220-221)

bp. Urban Wincenty, *Duszpasterski wkład księży repatriantów w Archidiecezji Wrocławskiej w latach 1945 – 1970*, Wrocław 1970 (s. 57)

Wiśmierski Fr., *Z dziejów szkolnictwa polskiego na ziemiach wschodnich w okresie II wojny światowej (Tajne nauczanie w pow. czortkowskim)* [w:] *Przegląd Historyczno-Oświatowy* nr 1/1970

Zagórowski W., *Spis nauczycieli szkół wyższych, średnich, zawodowych, seminariów nauczycielskich*, Lwów 1926, (s. 325)

Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo w Polsce 1652-2002. Prowincja krakowska, Prowincja litewska. Inst. Wyd.

Księża Misjonarzy Nasza Przeszłość, Kraków 2002

Aneta Krzak

Podolanie „Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata” Cz.VII – rodzina Grzebyków

Przedruk ze strony: www.sprawiedliwi.org.pl



Tabliczka z drzewa sprawiedliwych rodziny Grzebyków w Jad Waszem w Jerozolimie

Jan i Maria Grzebykowie mieszkali wraz z dziećmi, Stefanią i Stanisławem w Monasterzyskach, miejscowości w ówczesnym województwie tarnopolskim.

„W 1942 r. odwiedzając Tarnów, Stefania spotkała Żydówkę o

nazwisku Salomea Szpanglat i jej męża Naftalego oraz Henryka Kellera z rodziną. Wszyscy mieszkali w getcie tarnowskim” – czytamy w Księdze Sprawiedliwych.

Aby łatwiej było przedostać się do getta, Stefania zakładała żółtą gwiazdę, udając Żydówkę. Wyprowadziła z getta obie rodziny. Szpanglatom znalazła schronienie w Lubeniu koło Krosna, Kellerów zaś umieściła w gospodarstwie w Boguchwale niedaleko Rzeszowa. W tym czasie Stefania poznała też w getcie znajomą wspomnianych rodzin – Deborę Weg.

W oświadczeniu dla Żydowskiego Instytutu Historycznego Stefania pisała: „Do getta wchodziłam wielokrotnie, wynosząc mienie rodzin, celem umożliwienia im przeżycia po »aryjskiej« stronie. Z Marią Grzebyk (Deborą Weg) umówiłam się, że jeżeli opuści getto, może się do mnie zgłosić do Monasterzysk...”.

Tak też się stało w listopadzie 1942 r. Żydówka mieszkała u Grzebyków przez trzy miesiące – od listopada 1942 r. do lutego 1943 r. Nie miała ani dokumentów, ani pieniędzy. Wobec tego brat Stefanii – Stanisław postanowił zgłosić się razem z Deborą na ro-

boty przymusowe do Rzeszy. Zorganizował odpowiednie dokumenty, aby mogła udawać jego żonę.

W 1944 r. w Heinichen koło Drezna w Niemczech urodziła im się córka – Anna. Do Polski wrócili 5 sierpnia 1945 r. i pobrali się naprawdę.

Ocalone rodziny Szpanglatów i Kellerów wyemigrowały po wojnie do Izraela. Nie utrzymywały kontaktów z Grzebykami.

Od redakcji: rodzina Grzebyków tytułem „Sprawiedliwych” wyróżniona została w 1986 roku.

Alicja Placha

Podolanie „Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata”

Cz. VIII – Rodzina Traczów

Przedruk ze strony: www.sprawiedliwi.org.pl

Rodzina Traczów mieszkała przed wojną w Kopyczyńcach, na terenie dzisiejszej Ukrainy. Mikołaj Tracz, pracował w domu kultury „Sokół”, tam też w przybudówce mieszkała cała rodzina.



Maria i Mikołaj Traczowie

Marian i Michał Chir, krewni Traczów, pracowali razem z doktorem Schmetterlingiem i dentystką Tejgową. Gdy w październiku 1942 r. Niemcy utworzyli w Kopyczyńcach getto, Chirowie dostarczali żydowskiemu znajomym żywność. W 1943 r., w

czasie likwidacji getta, Marian i Michał na prośbę Schmetterlingów i Tejgów, namówili Mikołaja do ukrycia ich na terenie domu kultury.

Tracz umieścił ich na strychu nad własnym mieszkaniem. W byłym gołębniku ukryło się 7 osób. „Oni mieli być przez trzy-cztery dni, a byli przez dziesięć miesięcy, bo już nie dało rady ich wyprowadzić” - wspomina Józefa Czekaj-Tracz.

Warunki życia w kryjówce były bardzo ciężkie. Dostarczane przez Traczów jedzenie ukrywani musieli zabezpieczać przed myszami, plagą były pchły. Przez cały okres ukrycia obie rodziny nie miały możliwości się umyć, nie widziały słońca. Uratowana - Miriam Schmetterling po latach relacjonowała: „Myśmy normalnie nie mówili, tylko szeptali, myśmy po wyjściu musieli nauczyć się znowu mówić i chodzić”.

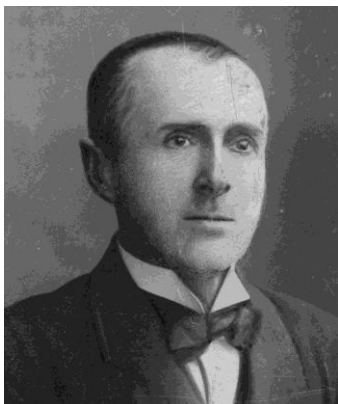
Wszyscy ukrywani w gołębniku ludzie przeżyli wojnę, w 1946 r. wyjechali z Polski. Po latach kontakty między rodzinami odnowił Arie Schmetterling, trwają one do dziś.

Od Redakcji: Łącznie 7 osób z rodziny Traczów i Chirów za ten bohaterski czyn otrzymało w latach 1990 i 1991 tytuł „Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata”

Jerzy Miller
Poznań

Zapomniani pisarze z Podola

Cz. VIII – Michał Rolle (1865-1932)



Michał Rolle urodził się 8 lipca 1865 roku w Kamieńcu Podolskim. Pochodził z rodziny o korzeniach francuskich. Był synem Józefa, znanego wówczas historyka i gawędziarza oraz Idalii z Zaszczyńskich, bratem Karola, prezydenta Krakowa. Studiował na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zaczął pisać w szóstej klasie gimnazjum.

Od 1894 roku pracował w re-

dakcji „Gazety Lwowskiej” jako sekretarz i zastępca redaktora naczelnego. Jego twórczość dzieli się na dwie grupy: naukową, np. Z przeszłości: Okręg Rowski – Starostwo Barskie, Ateny Wołyńskie, Tadeusz Czacki i Krzemieniec oraz popularnonaukową, na pograniczu nauki i literatury pięknej, np. gawędy zebrane w „Oryginałach”, „In illo tempore”, „Rzemiennym dyszlem”.



Publikował także w „Tygodniku Ziemi Sanockiej”. Ossolineum wydało jego pracę o malarzach kresowych „Sztuka polska na Kresach”, wyróżnioną na wniosek Uniwersytetu Jana Kazimierza przez ministerstwo. Był również laureatem nagrody literackiej miasta Lwowa w roku 1927. Natomiast w 1928 r. odznaczony został Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Krytyką teatralną Michał Rolle zajmował się nieregularnie, często w zastępstwie, stąd zapewne jego pseudonim „Zastępca”, którego używał czasami w „Gazecie Lwowskiej”, gdzie publikował recenzje pod nieobecność głównego krytyka, Adama Krechowickiego, a później innych sprawozdawców teatralnych tego dziennika (Alfreda Wysockiego, Bronisława Gubrynowicza czy Artura Schrödera). Zdarzało się jednak, że przez dłuższy czas był głównym recenzentem teatralnym „Gazety Lwowskiej”, jak np. w 1917, a potem także w latach 1924-1929, kiedy pisał sprawozdania ze wszystkich przedstawień miejskich scen (Teatru Wielkiego, Małego i Nowości) oraz ze wszystkich teatralnych występów gościnnych solowych i zespołowych (np. Reduty, Teatru Habima, kabaretu Qui Pro Quo) oraz imprez amatorskich. Był typem rzetelnego sprawozdawcy, przyjaznego zarówno lwowskim scenom miejskim, jak i różnym amatorskim imprezom teatralnym. Należał do łagodnych krytyków, jak sam usprawiedliwiał się w jednej z bardziej niepochlebnych recen-

zji: „pragnę unikać silnych, soczystych wyrażen”. Był krytykiem o dość konserwatywnych poglądach, zwłaszcza w dwudziestoleciu międzywojennym, kiedy należał już do starszego pokolenia lwowskich sprawozdawców teatralnych.

Michał Rolle nie należał nigdy do czołówki lwowskich krytyków teatralnych, nie wyznaczał kierunków, nie prezentował kontrowersyjnych sądów, nie wchodził w polemiki z innymi publicystami. Starał się być obiektywnym, rzetelnym i życzliwym sprawozdawcą, skrupulatnie i barwnie opisującym życie teatralne Lwowa.

Zmarł w nocy 10/11 listopada 1932. Władze miasta przekazały dla niego miejsce honorowe w alei dla zasłużonych na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, gdzie został pochowany 13 listopada 1932. Brat Michała Rollego, Karol był radnym, wiceprezydentem, a następnie prezydentem Krakowa, a w latach 1917-1931 pełnił też funkcję przewodniczącego miejskiej komisji teatralnej w Krakowie. Wnuczka Michała Rollego, Jolanta Martynowicz (zmarła w 2004) przez wiele lat była aktorką polskiego Teatru Ludowego we Lwowie.

Igor Megger
Poznań

Czortków w XIX tomie „Kresowej Atlantydy”

Opis Czortkowa w książce zajmuje 80 stron, jest to sporo i można w tej liczbie naprawdę wiele wątków poruszyć. W 34 podrozdziałach pan profesor opisał następujące zagadnienia: historia miasta do 1918 roku, słynnych czortkowskich rabinów, sylwetki burmistrzów Nossa, Michałowskiego i dr Lachowicza, wątek dowodzenia czortkowskim garnizonem KOP przez Stefana Roweckiego „Grota”, „Powstanie Czortkowskie”, mord ojców Dominikanów w Czortkowie, sylwetkę Jerzego Janickiego – znanego literata w Czortkowie urodzonego, sylwetki harcmistrza Józefa Opackiego, Jana Dobruckiego z Kanady (naszego wieloletniego koresponden-

ta), Marka Ściślaka, autora monografii o Czortkowie z lat 90, Tadeusza Igera, urodzonego w Czortkowie opolskiego numizmatyka, sławinisty Aleksandra Brucknera, oraz w dłuższych, bądź krótkich biogramach szeregu osób urodzonych w Czortkowie zasłużonych dla ziemi opolskiej i wrocławskiej.

Wiadomo, iż każdy książkę pisze inaczej, nie można zasympywać czytelników książki popularnonaukowej suchymi faktami, nie można na 80 stronach opisać historii całych 600 lat miasta – to jest oczywiste. Pan profesor w swojej serii skupia się na uratowaniu od zapomnienia ludzi związanych z miejscowościami, które opisuje przeplatając w nich wydarzenia z historii miasta. To cenne, gdyż wiele z tych postaci jest całkowicie zapomniana. Jednakże ta maniera może być także niebezpieczna, gdyż może grozić „przeładowaniem” nazwiskami i stać się dla czytelnika po prostu nudząca. Panu profesorowi udało się tego uniknąć, choć niektóre podrozdziały są, wg mnie oczywiście, za mocno rozbudowane, a niektóre za słabo. Otóż pokrótce, **moje uwagi do podrozdziałów:**

Historia miasta do 1918 – wczesna historia miasta opisana jest zgrabnie, bez pominięcia ważniejszych nazwisk czy wydarzeń. Opisany jest także zamek, szkoda tylko, że brak w nim informacji, że przed wojną trwały na nim prace remontowe i była izba PTTK, oraz, że obecnie jest odbudowany. Szkoda, że pan profesor nie opisał ciekawego wątku, dlaczego zamek jest u dołu pagórka i w miejscu bardzo ciężkim do obrony. Nie opisano także genezy nazwy dzielnicy Wygnanka, a jest ona bardzo ciekawa. Nie podano także części składowych miasta (dolna i górna Wygnanka, Stary Czortków, Berdo).

Losy rabinów – szkoda, że pominięto rabina Szapiro, brakuje także informacji o działającym do dziś w Izraelu żydowskim ziomkostwie czortkowie.

W podrozdziale o tytule „dzieło” Jana Sas-Zubrzyckiego o samym kościele są raptem 2-3 zdania, brakuje informacji o znajdujących się w nim zabytkowych tablicach.

Co do sylwetek burmistrzów, tematu mordy Dominikanów, nie mam żadnych uwag. Co do „Powstania” – szkoda, że prof. S.

Nicieja nie wspomniał o największym opracowaniu dotyczącym powstania, tj. o książce „Klucze do Wolności” S. Jankowskiego oraz o wystawie na ten temat zorganizowanej przez IPN.

O gen „Grocie” napisano już wiele. Jego „czortkowski” epizod trwał zaledwie kilka lat. Dobrze, że pan profesor „nie rozpiął” się na ten temat, jak inni historycy pisząc o Czortkowie. Czuję jednak lekki niedosyt na temat KOP-u w Czortkowie – temat tylko „liźnięty”.

Najbardziej mieszane uczucia mam, jeżeli chodzi dwa podrozdziały opisujące Jerzego Janickiego (któremu w pozycji poświęcono najwięcej miejsca – 10 stron) oraz o Aleksandrze Brucknerze (8 stron). J. Janicki faktycznie urodził się w Czortkowie, był wielkim i godnym pamięci piewcą Lwowa, jednak z Czortkowem się nie utożsamiał, ani nie brał udziału w życiu czortkowskiej diaspory. W nawiązaniu do pracy M. Ścislaka, czortkowiec K. Simon napisał w recenzji: *Na apel M. Ścislaka o pomoc w wydaniu monografii o Czortkowie jeden bardzo znany literat urodzony w Czortkowie, a zamieszkały w Warszawie nawet nie odpowiedział.* Jerzy Janicki jest osobą godną przypominania, choć nie wiem, czy w aż takim zakresie w pozycji dotyczącej Czortkowa. Co do wielkiego badacza, Aleksandra Brucknera (urodzonego w Tarnopolu), opisano jego, oraz badaczy jego spuścizny tylko dlatego, że w Czortkowie miał rodzinę (nie podano, jak spokrewnioną). Tak, jak J. Janicki jest to osoba wielka, ale czy pasuje do tego tomu w takim zakresie...

Co do pozostałych sylwetek opisanych zastrzeżeń nie mam, nie znam także większości tych osób, zatem nie wiem, co pominęto, a co dodano, cieszy ich wspomnienie, gdyż każda z tych osób na to zasłużyła. Może jedynie biogram Tadeusza Igera w porównaniu do innych wydaje się za długi (8 stron). Czuję jedynie pewien niedosyt co do J. Opackiego – opisany tylko na jedną stronę, brakuje informacji o jego dramatycznych przeżyciach z „repartiacji” oraz o losach jego spuścizny przekazanej od Osollineum.

Czego moim zdaniem brakuje, a być powinno:

Bardzo przykre i krzywdzące jest potraktowanie wielkiej czortkowiec i kronikarki miasta Ireny Kotowicz, jednym przypię-

sem, małymi literami pod tekstem głównym. Głównie dzięki niej wydano 150 numerów biuletynu, w większości ze wspomnieniami czortkowian. Była także przez 30 lat prezesem klubu „Podole”, który zrzeszał głównie czortkowian, o którym pan profesor nie napisał ani słowa. Jednym słowem nie wspomniano także oddziału TML „Czortków” we Wrocławiu, który w latach świetności liczył ponad 200 osób. O zjazdach czortkowian wspomniano jednym zdaniem, a przy kilku zdaniach o naszym obrazie nie dodano informacji o znajdujących się w tymże kościele Św. Jacka tablicach upamiętniających poległych czortkowian - które są prawdopodobnie jedynymi w kraju. Prawdą jest, że czortkowanie nie mieli silnego ruchu „ziomkowskiego”, co nie oznacza, że nie mieli go wcale, gdyż choć w szczątkowej formie, ale istnieje on do dziś – choćby w formie zjazdów. W większości przypadków przy innych miastach, w innych tomach takie informacje są. O naszym biuletynie, który jest, nie tylko moim zdaniem, skarbnicą wiedzy o Czortkowie, także nie wspomniano ani słowem.

Brakuje informacji na temat Polaków pozostałych w Czortkowie po 1945 roku. Brak informacji o polskim Towarzystwie tam istniejącym i szkółce niedzielnej prowadzonej przez panią Marię Pustelnik, o odremontowanej kwaterze żołnierskiej na cmentarzu, oraz o ojcu Reginaldzie Wiśniowskim - który tak jak. ks. Rutyna w Buczaczu, po 1989 roku do Czortkowa wrócił i odnowił rzymskokatolicką parafię.

Wracając do cmentarza, wspomniano o nim bardzo mało, dobrze, że chociaż jest informacja o pozycji cmentarz opisującej wydanej w 2007 roku przez Wspólnotę Polską (choć w przypisie).

Co do czasów dawniejszych. Temat szkolnictwa został prawie całkowicie pominięty. Wspomniano o gimnazjum i dyrektorach, oraz o nauczycielach ks. Boczarze i J. Opackim. Brak co najmniej jeszcze dwóch postaci: nauczyciela łaciny i twórcy kółka teatralnego, Stanisława Krwawicza (wspomniany w liście J. Dobruciego jednym zdaniem), oraz autora opracowania nt. tajnych kompletów, Franciszka Wyśmierskiego.

W ogóle nie wspomniano o innych szkołach, w tym o słynącym na całe województwo seminarium nauczycielskim, szkołach powszechnych zarówno polskiej, jak i żydowskiej, czy o gimnazjum kupieckim.

W opisie lat prawie całkowicie pominięto działalność podziemną, w tym działalność Kedywu AK – w tym bardzo głośne dwie egzekucje – naczelnika czortowskiego Gestapo, von Inselta oraz gestapowca Radkego. Są wypisy z listów Aleksandry Kołodziejówny, która pracowała u szefa Gestapo, ale nie ma jego nazwiska, ani szerszego komentarza do tematu.

Pominięto także całkowicie temat podziemnego szkolnictwa bardzo na terenie Czortkowa rozwiniętego, słowem nie wspomniano o jednym z jego twórców o o. Urbanie Szeremecie – także jednym z duchowych „przywódców” diaspory czortkowskiej. Brak jest także wzmianek (może będą w osobnym tomie) o podczortkowskich Skorodyńcach – miejscu wielkiej tragedii, jakiej doznała ludność polska z rąk UPA, Jagielnicy i jej fabryce tytoniu oraz o mniejszych wioskach.

Często używam słowo prawie – to „prawie”, to często jedynie 2-3 słowna wzmianka w tekście, czy wspomnieniach o kimś innym, a powyższe wątki w pełni by zasługiwały na osobne podrozdziały – myślę, że nie ma tego aż tak wiele, by objętościowo się nie zmieściło, a i czytelność, jak i przystępność tekstu na tym by nie ucierpiała.

Co do innych miejscowości opisanych w tomie, tj. Brodów oraz podlowskich Mostów Wielkich i Żółkwi, nie wypowiadam się, gdyż moja wiedza na temat ich szczegółowej historii i ludzi je zamieszkujących jest bliska zeru.

Zachęcam czytelników „Głosów” do dyskusji nad tą przez lata wyczekiwaną przez niektórych pozycją, która jest właściwie po książce M. Ściślaka, drugim po 1945 r. wydawnictwem książkowym opisującym całość historii naszego miasta, nie tylko wybrane z jej historii zagadnienia. A może, kto wie, znajdzie się wśród czytelników „Głosów” brodzianin, który zechciałby napisać drugą część recenzji?

Redakcja

Aktualności z Podola oraz z życia Podolan w kraju

Do redakcji wpłynął następujący apel potomka czortkowiaków: *Szanowni Państwo, nazywam się Marcin Tazbir i jestem potomkiem Turowskich oraz Drażniowskich z Czortkowa. Moja rodzina zamieszkiwała w Czortkowie przy ulicy Szopena 12a, tj. Pius Turowski (1898-1944), Maria z Drażniowskich (1900-1982) oraz ich synowie Ryszard (1927-1990) i Krzysztof (1930-2004). Pius był maszynistą, pracował między innymi z Edwardem Czajkowskim. Przy końcu marca został raniony odłamkiem bomby, która miała spaść na ich dom i pod koniec lipca 1944 zmarł w szpitalu. Pod adresem Szopena 68 mieszkali rodzice Marii Turowskiej - Andrzej Drażniowski ur. (1872- zm. po 1945) oraz Anna (1877-1945) wraz z pozostałymi dziećmi. Andrzej był budowniczym – wybudowałm. in. Cerkiew Świętego Wstawiennictwa w Czortkowie. Jako genealog poszukuję jakichkolwiek informacji, zdjęć o wszystkich Turowskich oraz Drażniowskich pochodzących z Czortkowa. Podaję Państwu swój numer telefonu celem ewentualnego kontaktu 885 501 017.*

Pani Grażyna Nowak z grupy internetowej „Genealogia – Buczacz, Jazłowiec, Czortków i okolice (Podole) poszukuje informacji na temat swojego dziadka Kazimierza Szpotowskiego pracownika czortkowskiego banku. W zbiorach rodzinnych znalazła fotografię zbiorową prawdopodobnie z lat 30 XX w., przedstawiających prawdopodobnie pracowników banku, ale prócz dziadka nikogo nie rozpoznaje. Może ktoś z czytelników kogoś rozpozna? Osoby posiadające te lub inne informacje na temat bankowości w Czortkowie proszone są o kontakt z redakcją. Zdjęcie publikujemy na następnej stronie.

4 lipca br w kościele Dominikanów we Wrocławiu odprawiona została msza święta w intencji pomordowanych w 1941 r. czortowskich braci Dominikanów. Po mszy odbyło się spotkanie Czortkowan. Organizatorem wydarzenia było koło TMLiKPW „Czortków” we Wrocławiu.



Pracownicy czortkowskiego banku (?) lata 30 XX w.

W dniu 29 czerwca, a więc w dniu imienin patronów miasta Poznania – Piotra i Pawła, nasz stały czytelnik i autor artykułów p. Jerzy Miller odznaczony został z rąk Arcybiskupa Poznańskiego Stanisława Gądeckiego medalem „Optime Merito Archidioecesis Posnaniensis” (Za znaczące zasługi dla Archidiecezji Poznańskiej), za wieloletnie prezesowanie Akcji Katolickiej na poznańskich Winiarach oraz prowadzenie przez lata tamtejszej biblioteki i archiwum kościelnego.

Szanowny Panie Jerzy, proszę przyjąć z rąk kolegium redakcyjnego najszerze gratulacje z powodu odznaczenia tak zaszczytnym wyróżnieniem!

Informujemy także, że II część tekstu p. Jerzego Millera dotyczącą Traktatu Ryskiego zamieścimy w przyszłym numerze „Głosów”. Przerwa spowodowana jest natłokiem materiałów związanymi z okrągłą rocznicą „Krwawej Niedzieli”, które chcieliśmy w tym numerze zamieścić.

Przypominamy, iż tradycyjnie w pierwszą niedzielę września – w tym roku przypadającą 3 IX – w kościele pw. Św. Jacka w Warszawie (ul. Freta) odbędzie się doroczne spotkanie Czortkowień. Msza Św. o godz. 12.00, po mszy spotkanie w salce na tyłach kościoła (wejście przez zakrystię).

W dniach 22-26 maja, w Krzeszowicach k. Krakowa odbył się XXXVI Koleżeński Zjazd Tarnopolan. W programie prócz spotkań towarzyskich był czas na zwiedzanie Krzeszowic, Krakowa, rejs stateczkiem po Wiśle, spotkanie z przedstawicielem policji oraz wieczór piosenek kresowych w wykonaniu Podolanina, p. Józefa Kaszczyszyna. Organizatorem zjazdu był „Klub Tarnopolan” przy krakowskim oddziale TMLiKPW. Na następnej stronie publikujemy pamiątkową fotografię uczestników zjazdu.



Igor Megger
Poznań

ŚP Maria Sikorzyńska

Z głębokim smutkiem informujemy o śmierci naszej koleżanki – członkini kolegium redakcyjnego „Głosów Podolan”, p. Marii Sikorzyńskiej, wieloletniej sekretarz warszawskiego Klubu „Podole”, członek zarządu Stołecznego Oddziału TMLiKPW oraz warszawskiej Rodziny Katyńskiej.

Naszemu korektorowi, p. Piotrowi Rudzkiemu
oraz rodzinie zmarłej w imieniu Kolegium Redakcyjnego składam
najgłębsze kondolencje

Igor Megger – Redaktor Naczelny „Głosów Podolan”



Maria Sikorzyńska urodziła się w rodzinie kresowej, zdobyła wykształcenie wyższe techniczne. Po przejściu na emeryturę czynnie zaangażowała się w ruch kresowy. Pełniła m.in. funkcję sekretarza w zarządzie Warszawskiego oddziału TMLiKPW oraz członka komisji rewizyjnej warszawskiej „Rodziny Katyńskiej”. Najpełniej zaangażowała się w działalność „Klubu Podole”, którego członkiem była od 1997 roku. Przez lata zajmowała się organizacją zebrań klubowych oraz kontaktów z członkami. Przez szereg lat, aż do jego likwidacji, była sekretarzem Klubu. To na niej spoczął także smutny obowiązek likwidacji klubu w lutym 2022 roku z powodu topniejącej frekwencji i braku perspektyw do egzystencji.

Na początku 2021 roku, po śmierci p. Ireny Kotowicz i przeniesieniu tytułu z Warszawy do Poznania, Maria Sikorzyńska weszła w skład nowego kolegium redakcyjnego „Głosów Podolan” jako przedstawiciel przekazującego wydawanie biuletynu Poznańskiemu TMLiKPW- „Klubu Podole”. W redakcji pełniła funkcję „łącznika” między redakcją a warszawskimi prenumeratorami, nie tylko tymi zrzeszonymi w „Klubie Podole”. Brała aktywny udział w zabezpieczaniu dokumentów redakcyjnych i klubowych po śmierci p. Kotowicz. Zmarła była autorką szeregu artykułów z życia klubu, oraz z życia warszawskich kresowian. Niestety, nie udało nam już się spotkać na corocznym Zjeździe Czortkowian, ani na planowanym spotkaniu w związku z 30-leciem naszego biuletynu.

Maria Sikorzyńska zmarła w 85 roku życia, 17 lipca br. w Warszawie. Uroczystości pogrzebowe odbyły się 28 lipca br. na Cmentarzu Północnym w Warszawie.

Cześć Jej Pamięci!

*Igor Megger
Poznań*

ŚP Józef Zbigniew Siegel



Józef Zbigniew Siegel – Czortkowiec, działacz warszawskiego klubu „Podole”, autor publikowanych na naszych łamach wspomnień, ostatni z rodzeństwa Siegelów, odszedł 17 maja br. w wieku 93 lat. Pochowany został na Cmentarzu Centralnym w Szczecinie w grobowcu rodzinnym wraz z ojcem Janem, żoną Danutą, oraz siostrami Ludwiką i Wandą.

Zbigniew Siegel (bo tego imienia głównie używał) urodził się w Czortkowie 18 stycznia 1930 jako najmłodszy z szóstki dzieci Marii i Jana Siegelów – czortkowskiego mistrza kaflarskiego i zduńskiego. Okres do wypędzenia w 1945 roku Zbigniew z rodziną zamieszkiwał wraz z rodziną w Czortkowie przy ul. Szopena 21. Edukację rozpoczął w 1937 w szkole powszechnej im. króla Jana Sobieskiego znajdującej się u zbiegu ulic Szopena i Zamkowej. We wrześniu 1939 jako harcerz brał aktywny udział w działaniach obronnych kopiąc rowy i roznosząc karty mobilizacyjne. Wielkim przeżyciem dla 11-letniego chłopca były uroczystości pogrzebowe skrytobójczo pomordowanych ojców Dominikanów w lipcu 1941 r. Swoje rodzinne miasto opuścił 8 marca 1944 r.

„Wyzwolenie” spotkało go w Łazach k. Bochni. Młode lata pełne są zmian miejsca mieszkania, m.in. Nysa, Wrocław, by w końcu w 1952 roku trafił do Szczecina. Z. Siegel kończy wydział

elektryczny tamtejszej politechniki i rozpoczyna pracę zawodową, która trwa dłużej niż przysługująca mu od 1993 roku emerytura, bo pracuje aż do 2015 roku do wieku 85 lat. Praca zawodowa to m.in. Elektrownia Turów, Zakłady Chemiczne w Policach, Huta Katowice, kontrakt w Libii oraz Nigerii czy praca w ambasadzie USA.

Ostatnie lata życia spędził, wraz ze zmarłą w 2021 roku małżonką Danutą, w podwarszawskim Domu Opieki „Dar Serca” w Łomnej, do końca będąc naszym czytelnikiem i do końca interesując się swoim rodzinnym Podolem.

Igor Megger
Poznań

ŚP Kazimierz Górak



Ze smutkiem zawiadamiamy, że 21 czerwca br., w wieku 89 lat zmarł **Kazimierz Górak** – lwowianin, nasz przyjaciel, zasłużony członek poznańskiego Oddziału TMLi-KPW, świadek Rzezi Wołyńskiej. Uroczystości pogrzebowe odbyły się we wtorek, 27 czerwca b.r. na cmentarzu parafii Bożego Ciała przy ul. Bluszczowej/Wiśniowej na Dębcu (Poznań).

Kazimierz Górak urodził się 10 marca 1934 roku we Lwowie, gdzie z rodziną zamieszkiwał bloki wojskowe na Kleparowie. Od sierpnia 1939 rodzina Góraków mieszkała we wsi Oryszkowce w pow. żydaczowskim, woj. Stanisławów. Tam też mieszkała do 1944 roku unikając zsyłki oraz zamordowania z rąk OUN UPA. Jak wspominał śp. pan Kazimierz w swych wspomnieniach: „10 lutego 1940 roku cudem uniknęliśmy wywózki na Sybir. Było to tak: noc, mróz i łomotanie. Ojca chyba nie było, nie pamiętam dokładnie. Mielśmy się pakować. Wtedy matka dała NKWDziście nasze dokumenty, w których było napisane, że miejscem naszego urodzenia był Lwów. Zdziwiło go to i spytał, co tu robimy? Matka powiedziała, że jesteśmy w go-

ścinie u rodziny – dzięki temu nas nie wywieźli. Mieli listy mieszkańców wsi, ich wywozili, innych nie.

W lutym 1944 roku ojciec mój udał się do kościoła do wsi obok. Msza nie odbyła się – w tym dniu czy dzień wcześniej UPA dokonało mordu we wsi Fraga w powiecie Rohatyn, gdzie znajdowało się słynne sanktuarium z cudownym obrazem i klasztor. Ojciec wrócił do domu i wtedy uznał, że musimy uciekać, bo i na naszą wieś przyjdzie czas. Nie groziło jej spalenie całkowite, gdyż domy były za blisko i ukraińskie też by spłonęły, natomiast mogliby nas zamordować.(...) Około 19 lutego 1944 roku w nocy opuściliśmy Oryszkowce. Ciotka została, nie chciała z nami jechać. Wokół były łuny z okolicznych wsi. Wpierw na noc przenieśliśmy się do pobliskiego Ukraińca o nazwisku Salomon, który na strychu przechował nas oraz innych Polaków, wielka chwała mu za to. W 2001 roku jak byłem w rodzinnych stronach, chciałem podziękować mu za to. Okazało się że po wojnie wyprowadził się do Polski (miał żonę Polkę). Stamtąd ojciec wynajął Ukraińców z powózkami do przetransportowania nas oraz sąsiadów, którzy chcieli dojechać do najbliższej stacji kolejowej – był to Chodorów. Niestety ciotka swój upór przypłaciła tragicznie – została zamordowana w czasie jednego z napadów”.

Rodzina Góraków z licznymi przygodami trafiła w 1945 roku do wsi Gościejewo koło Rogoźna w obecnym woj. wielkopolskim. Tam rodzina Góraków objęła poniemiecką gospodarkę, którą po ukończeniu kierunkowych studiów pan Kazimierz zarządzał do emerytury.

W latach PRL udzielał się społecznie w działaniach opozycyjnych do ówczesnej komunistycznej władzy. Był jednym z twórców studenckiego ruchu pomocy dla więźniów politycznych po poznańskim Czerwcu 1956, których to wydarzeń był naocznym świadkiem i w trakcie których przeżył niesamowitą sytuację:

„Przy ul. Poznańskiej, tam gdzie są dwa wiadukty kolejowe (tory na Piłę i Warszawę), stały już czołgi, a wojsko oparte obok nie reagowało. Usiedliśmy z kolegą na gąsienicach przy czołgach. Tam przeżyłem dramatyczną sytuację. Nieopacznie powiedziałem słowa,

które można zrozumieć dwojako, coś w stylu „Słuchaj przecież wszystkich naszych wystrzelają, jak kaczki, jakby wzięły naszą kompanię przeszkoloną, to by dopiero pokazała” (chodziło o studium wojskowe). Ktoś z grupki stojącej obok, prawdopodobnie prowokator UB, powiedział „To są Ubeki!”. Zaczęliśmy się tłumaczyć, zrewidowano nas. Na domiar złego u kolegi znaleziono książeczkę oficerską, jako że student był po studium wojskowym i miał stopień podporucznika. Ja nie miałem takowego, gdyż choroba serca wyłączyła mnie z tych zajęć. Tłum chciał nas zlinczować, powiesić. Szarpano nas i poszturchiwano, nie słuchano naszych sprostowań, a wojsko nie reagowało – tak działa psychoza tłumy. Uratował nas starszy pan w mundurze, bodajże kolejarz, który powiedział „to nie wiecie, że studenci też mają wojsko?”. Po tym zdarzeniu czym prędzej czmychnęliśmy i po południu byliśmy z powrotem w akademiku, a stan naszych ubrań wzbudził zdziwienie kolegów, którzy nie znali sytuacji w mieście”.

Po 1989 roku śp. Kazimierz Górak, z potrzeby serca wstąpił do nowo powstałego TMLiKPW, gdzie dał się poznać jako aktywny członek, szczególnie w zakresie pomocy Polakom pozostałym na Wschodzie. Wielokrotnie wyjeżdżał z Akcją Charytatywną naszego Towarzystwa do Lwowa, gdzie zajmował się opieką nad bazą i wydawaniem darów. Opieką bazy zajmował się także w Poznaniu, gdzie w trakcie trwania Akcji Charytatywnej pełnił codzienne dyżury. Prócz pomocy w ramach naszego Towarzystwa organizował tę pomoc także sam, znanymi tylko sobie kanałami i metodami. W 2014 roku odznaczony został złotą odznaką TMLiKPW. Do końca brał udział w życiu Towarzystwa: jeszcze niecałe cztery miesiące temu – 28 lutego b.r. brał aktywny udział w spotkaniu z panem Franciszkiem Bąkowskim. Aż się wierzyć nie chce, że dziś żadnego z nich nie ma z nami...

Szczęśliwie dla potomnych, śp. Kazimierz Górak, choć z oporami, podzielił się z nami swoimi ciekawymi wspomnieniami, które publikowane były na łamach numerów specjalnych „Biuletynu Informacyjnego” poznańskiego oddziału TMLiKPW, opisują-

cych Czerwiec '56, oraz wysiedlenie zwane „repatriacją”, do których lektury zachęcamy.

W naszej wdzięcznej pamięci „pan Kaziu” lub po przyjacielsku „Kaziu”, jak go wielu z nas z sympatią nazywało, pozostanie jako przykład „prawdziwego Samarytanina”, który swoją ostatnią koszulę poświęci dla brata Polaka pozostałego na Wschodzie.

Jerzy Miller
Poznań

Wspomnienie o moim Przyjacielu

Franciszek Bąkowski (1937-2023)
Kustosz Pamięci o zagładzie Huty Pieniackiej



W dniu 4 maja 2023 roku w Poznaniu odszedł na wieczną wartę śp. Franciszek Bąkowski, szlachetny przyjaciel, zasłużony nauczyciel, działacz społeczny, zasłużony działacz ruchu kresowego, kustosz pamięci o zagładzie Huty Pieniackiej.

Franciszek Bąkowski urodził się 6 lutego 1937 roku we wsi Huta Pieniacka, wsi znajdującej się w dawnym województwie tarnopolskim, jeszcze w niepodległej Polsce. Franciszka Bąkowskiego szczęśliwie poznałem w 1997 roku, kiedy razem zamieszkaliśmy w nowej kamienicy

przy ul. Tadeusza Rejtana na poznańskich Winiarach.

Po odejściu Franciszka na wieczną wartę, mogę tylko podziękować losowi, że na mojej drodze życiowej spotkałem serdecznego przyjaciela, ważnego dla mnie przewodnika po dziejach wschodnich Kresów Rzeczypospolitej. Zawsze podziwiałem dumę i szacunek Franciszka dla dziedzictwa kulturowego utraconej „kre-

sowej ojczyzny”. Do Wielkopolski Franciszek przybył z Opolszczyzny – Kędzierzyna–Koźla, żeby dotrzeć do syna Andrzeja, który po studiach na anglistyce pozostał w Poznaniu, gdzie założył rodzinę z małżonką Lidią. Warto przypomnieć, iż będąc sierotą, mały Franciszek po II Wojnie Światowej dotarł do kolejnego domu dziecka w Koźlu. Tamże skończył edukację w technikum żeglugi śródlądowej, gdzie później został nauczycielem, kierownikiem uniikatowych warsztatów szkolnych. Z powodzeniem studiował pedagogikę na Uniwersytecie Opolskim. Do końca pozostał wierny technikum żeglugi śródlądowej, z którego to odszedł na zasłużoną emeryturę. Stale w rozmowach nie mógł pogodzić się z likwidacją warsztatów szkolnych, o czym świadczy jego opracowanie dziejów tychże warsztatów.

Przez całe swoje życie zawodowe był zaangażowanym społecznikiem w związkach zawodowych, Towarzystwie Miłośników Koźla oraz w Polskim Związku Filatelistów. Obok zainteresowania nowymi zdobyczami techniki był pasjonatem historii, bibliofilem kolekcjonerem znaczków pocztowych, numizmatów, medali i białej broni.

Po odszukaniu po wojnie swojego rodzeństwa, marzył o odwiedzinach kresowej Huty Pieniackiej. Wreszcie w 1989 roku wraz ze starszym bratem Władysławem udał się w pierwszą podróż do Huty Pieniackiej. Ta pielgrzymka dla Franciszka była wielkim przeżyciem, gdyż mógł stanąć na polach śmierci dawniej licznej wsi – teraz wielką pustą polaną wśród lasów, bez żadnych śladów po zabudowaniach. Brat Franciszka opracował monografię p.t. *Zagłada Huty Pieniackiej*⁷. Na kanwie wspomnień Franciszka opublikowałem w „Naszej Wielkopolsce”, „U Źródeł”, „Głosach Podolan” dramatyczne losy Huty Pieniackiej.

W czasie pierwszej wizyty w Hucie Pieniackiej wróciły do Franciszka tragiczne losy zamordowanych rodziców: matki Bronisławy, ojca Leona, brata Józefa, babci Heleny Karpowicz, wujka Jana Karpowicza z żoną Karoliną i trojgiem dzieci. Dzięki Fran-

⁷ Bąkowski Władysław, „Zagłada Huty Pieniackiej” Biblioteka Złoczowska, Kraków 2001

ciszkowi, jego wiedzy, przeżyciom mogłem poznać ideologię skrajnego ukraińskiego nacjonalizmu, doprowadzenia do ludobójstwa około 1000 mieszkańców Huty Pieniackiej. Myślę, iż ważną cezurą w życiu Franciszka była działalność zmierzająca do wydobycia z niepamięci ludobójczej zbrodni w Hucie Pieniackiej. Utworzenie stowarzyszenia „Huta Pieniacka”, której był współzałożycielem – to wzmożona aktywność Franciszka na rzecz zaistnienia w świadomości społecznej o zbrodniach ludobójstwa na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej. Wielokrotnie Franciszek opowiadał mi o swoich działaniach, projektach na rzecz stowarzyszenia. Podziwiałem jego niegasnący entuzjazm przejawiający się m.in. w prowadzeniu kroniki, zbieraniu funduszy, składek członkowskich. Brał udział w renowacji cmentarza parafialnego w Hucie Pieniackiej, nekropolii żołnierzy polskich w Brodach. Był też projektantem medalu z okazji odsłonięcia pomnika w Hucie Pieniackiej, tablicy pamiątkowej, oraz ufundowania sztandaru stowarzyszenia. Obok kilkudziesięciu wizyt w Hucie Pieniackiej, udziału w uroczystościach rocznicowych przeprowadził w wielu szkołach na terenie całej Polski pogadanki, dzięki którym młodzież mogła zapoznać się z zagładą Huty Pieniackiej, zbrodniami ludobójstwa na Kresach Wschodnich RP.

Byłem świadkiem, jak nawiązywał braterskie przyjaźnie z uczestnikami motocyklowego Raju Katyńskiego, który systematycznie odwiedzał i pracował na rzecz Huty Pieniackiej. Często korzystałem z cennego księgozbioru biblioteczki kresowej, którą Franciszek systematycznie gromadził przez całe życie. Podjął się trudu gromadzenia zbiorów wspomnień o Hucie Pieniackiej. Pożnański oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich którego był przyjacielem zamierza w niedługim czasie opublikować wspomnienia byłych mieszkańców Huty zebranych przez Śp. Franciszka Bąkowskiego.

Od grudnia 2022 roku z niepokojem i pełen obaw widziałem pogarszający się stan Franciszka, gdy jego siły, serce, zaczęły odmawiać posłuszeństwa, ale do końca nie tracił nadziei, że uda mu się zrealizować wszystkie plany. Tradycyjnie, w 79 rocznicę zagłady Huty Pieniackiej (28.2.23) po mszy intencyjnej, uczestniczył w

okolicznościowym spotkaniu w bibliotece parafialnej na Winiarach (z tego spotkania pochodzi także jego fotografia znajdująca się w artykule). W tym ostatnim publicznym wystąpieniu Franciszek obszernie i wyczerpująco odpowiadał na liczne pytania. Pokazał, że do końca można być wiernym idei przekazywania prawdy Polakom o ukraińskim ludobójstwie w czasie II Wojny Światowej. Przez ten ciężki czas choroby byłem na co dzień świadkiem wielkiej miłości, jaką został otoczony przez syna Andrzeja, synową Lidię i wnuczkę Hannę. Osobiście starałem się wspierać w tym trudnym czasie Franciszka dobrym słowem, modlitwą, podejmowaniem rozmów o jego umiłowanych Kresach i przypominaniem wspaniałych lat pracy w charakterze nauczyciela.

Gdy Franciszek został pod koniec kwietnia 2023 odwieziony do szpitala, jego stan, który to zauważyłem podczas odwiedzin wspólnie z kol. Igorem Meggerem, nie wskazywał, że wkrótce nastąpi dramatyczny zwrot w chorobie. Niestety dwa dni później, kiedy odwiedziłem sam Franciszka, nie mogłem już nawiązać z nim kontaktu.

4 maja otrzymaliśmy z małżonką smutną wiadomość od jego syna, że nasz szlachetny przyjaciel Franciszek odszedł na wieczną wartę. Mogę powiedzieć, że 4 maja, dzień śmierci Franciszka, jak też okres po jego odejściu do domu Pana, był i jest dla mnie bolesną stratą i doświadczeniem, gdyż utraciłem bliskiego, doświadczonego przyjaciela.

Uroczystości pogrzebowe rozpoczęły się w parafialnym kościele p.w. Św. Stanisława Kostki mszą intencyjną pogrzebową. Ks. Proboszcz Krzysztof Skowroński przypomniał szlachetne i ofiarne życie Franciszka. Szczególnie warto odnotować, iż wśród licznie zgromadzonych uczestników był poczet sztandarowy technikum żeglugi śródlądowej wraz z delegacją dykcji w marynarskich mundurach oraz poczty sztandarowe stowarzyszeń „Huta Pieniacka” i „Rajd Katyński”. Uroczystościom pogrzebowym na cm. Miłostowskim przewodniczył kapelan rajdu katyńskiego Dariusz Stańczyk – wspominał o wielu spotkaniach ze śp. Franciszkiem określając go jako swoistą „ikonę” ruchu organizacji kresowych.

W kondukcje żałobnym obok licznej rodziny i krewnych uczestniczyły rzesze znajomych i przyjaciół, których śp. Franciszek spotkał na drodze swego życia. Wzruszającym momentem było wysypanie ziemi z Huty Pieniackiej na trumnę, którą przywiozła delegacja stowarzyszenia. Pod koniec godnego ceremoniału pogrzebowego przemówił syn Andrzej, który we wzruszający sposób podziękował ojcu za wszelkie dobro, jakie od niego otrzymał. Następnie kolejno przemówili: Katarzyna Kwinecka – prezes poznańskiego oddziału TMLiKPW, Małgorzata Gosiewska-Kola- prezes stowarzyszenia „Huta Pieniacka”, Katarzyna Wróblewska ze stowarzyszenia „Rajd Katyński” oraz ks. Dariusz Stańczyk - kapelan rajdu.

Śp. Franciszek Bąkowski, kustosz pamięci o Hucie Pieniackiej, odszedł na wieczną wartę, pozostawiając nas z pamięcią o swoim szlachetnym życiu. Kochał swoją rodzinę, swój utracony świat Kresów, kochał nas wszystkich, których spotkał w czasie swej ziemskiej wędrówki. Mam pewność, że jego miłość do nas pozostanie w naszej pamięci.

Hanna Dobias-Telesińska – tekst

Jacek Kołodziej – foto

Poznań

XXVI Dni Lwowa i kresów w Poznaniu – Piknik Lwowski



W niedzielę, 18 czerwca b.r., w Parku Ekologicznym przy ul. Hezjoda na os. Strzeszyn w ramach XXVI Dni Lwowa i Kresów w Poznaniu odbył się organizowany przez nasz Od-

dział, Piknik Lwowski, który miał charakter charytatywny. Celem było zebranie funduszy na akcję pomocy Polakom na Kresach „Ser-

ce dla Lwowa”, którą organizować będziemy przed Świętami Bożego Narodzenia. Jak co roku transport darów pojedzie do Lwowa, by przekazać je Polakom zamieszkałym we Lwowie i w kilku innych miastach. Sytuacja starszych, schorowanych i ubogich Polaków w obecnej sytuacji wojennej bardzo się pogorszyła. Naszym obowiązkiem, nie tylko statutowym, jest o nich pamiętać. Ta pomoc dotyczy także dzieci. Odwiedzimy polskie szkoły i oddziały przedszkolne. Każda pomoc jest teraz na wagę złota, gdyż zagrożenie wojenne sytuację materialną ludności bardzo pogorszył. Stąd też nasze działania. Przez cały czas zbieramy fundusze. Każdy, kto chciałby wspomóc naszą pomoc, może wpłacać dowolne kwoty na konto: **06 1020 4027 0000 1302 0293 3455** z dopiskiem „Serce dla Lwowa”.

Współorganizatorami pikniku w Strzeszynie były: Rada Osiedla Strzeszyn oraz Szkoła Podstawowa Nr 1. Gości powitała prezes Katarzyna Kwinecka, po czym zabrały głos wicedyrektorka



Szkoły Podstawowej Nr 1 w Strzeszynie Aleksandra Cech oraz przewodnicząca Rady Osiedla Strzeszyn Dominika Zenka-Podlowska. Pani dyrektor poinformowała zebranych o planach na

przyszły rok, kiedy to zostanie nadane imię szkole „Orląt Lwowskich”.



W tym roku na pikniku wystąpiły zespoły: „Tyliгентne Batiary” z tymczasowym pobytem w Bytomiu, „WIWATY” z Pobiedzisk, zespół Adama Sypniewskiego z Poznania. Imprezę rozpoczął przemarsz orkiestry dętej z Mosiny wraz z małżonkami.

Adaśku z Andrzejem – „Tyliгентne Batiary” – wzruszyli nas wykonaniem sentymentalnych piosenek lwowskich oraz humorem rodem z Łyczakowa.

Zespół „Wiwaty” z Pobiedzisk kolejny raz rozbawił widownię pięknym śpiewem.

Adam Sypniewski z zespołem wykonał wszystkim znane i lubiane piosenki lwowskie we własnych, lekko uwspółcześnionych aranżacjach, a także kilka własnych kompozycji do wierszy Herberta (słynnego Lwowianina z Łyczakowa). Adam Sypniewski prowadzi na Strzeszynie pracownię artystyczną „Przystań”, gdzie kształci młode talenty. W ubiegłym roku przygotował występ zespołu składającego się z ukraińskich dzieci uchodźców, które trafiły do SP Nr

1. W tym roku przygotował występy laureatów konkursu MAM TALENT ze Szkoły Podstawowej Nr 1 w Poznaniu

Piknik uświetniły gry, konkursy i zabawy, głównie dla dzieci. Podczas terenowej gry detektywistycznej bawiono się w Sherlocka i rozwiązywano zagadkę – co łączy Lema, Parandowskiego, Herberta i wielu innych patronów strzeszyńskich ulic. Ogłoszono konkurs na najciekawsze zdjęcie z Pikniku. Na stronie Rady Osiedla internauci wyłonią laureata. Poza tym była strzelnica wiatrówkowa, loteria, koło szczęścia, a także interesujące pokazy straży pożarnej.

Widzowie mogli odwiedzić bufet z kawą, herbatą i słodkimi wypiekami produkcji wolontariuszy, dochód ze sprzedaży przeznaczony został na cele charytatywne. Zainteresowaniem cieszyło się stoisko z wydawnictwami oraz gadżetami lwowskimi. Wolontariusze obsługiwali stoiska z napojami, słodyczami i literaturą oraz prowadzili gry i zabawy. Bardzo pomocni byli harcerze Czarna 13 z Hufca Poznań Śródmieście i Szczep Drużyn Herkules z Hufca Jeżyce.

Redakcja

Adam Chłopek laureatem wyróżnienia „Semper Fidelis”



Z wielką przyjemnością przychodzi nam zakomunikować, że na posiedzeniu w dniu 10 maja br., kapituła spośród czterech wniosków wybrała i przedstawiła do zaakceptowania kandydaturę Adama Chłopka Zarządowi Oddziału. Tego samego dnia kandydatura została zaakceptowana.

Sylwetka laureata: Adam Chłopek urodził się 21 listopada 1951 r. w Drohobyczu (woj. lwowskie) w polskiej rodzinie, z zawodu nauczyciel. Po rozpadzie ZSRR od 30 lat aktywnie działa na rzecz mniejszości polskiej w Drohobyczu i okolicach, jest jednym z najaktywniejszych działaczy polskich na terenie Ukrainy. Obecnie jest

Prezesem Zjednoczenia Nauczycieli Polskich na Ukrainie, Członkiem Zarządu Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie, Członkiem Rady Oświaty Mniejszości Narodowej przy Ministrze Oświaty Ukrainy.

Ważniejsze zasługi pana Adama Chłopka dla polskiej mniejszości oraz z upamiętniania polskiego dziedzictwa na Wschodzie:

- tworzenie struktur oświaty polskojęzycznej na Ukrainie: twórca i nauczyciel polskiej sobotniej szkoły im. Królowej Jadwigi w Drohobyczu (szkoła jest czynna 6 razy w tygodniu i uczy ok. 400 uczniów) oraz nauczyciel w jej filiach w Mednicach, Słońskiem i Wołoszczy.
- zainicjowanie Centrum Nauczania Języka i Kultury Polskiej w Drohobyczu, któreszkoli nauczycieli, pomaga zakładać szkoły polskie, wyposażać je i tworzyć do nich programy nauczania.
- adaptacja budynku mieszkalnego przy ul. Truskawieckiej 9 w Drohobyczu na rzecz Ogólnoukraińskiego Koordynacyjno-Metodycznego Centrum Nauczania Języka i Kultury Polskiej i Domu Polskiego w Drohobyczu,
- remont zniszczonych nagrobków na XIX- wiecznym cmentarzu w Drohobyczu,
- powołanie muzeum „Izba Pamięci Bruno Schulza w Drohobyczu”,
- powołanie muzeum Aleksandra Fredry w Rudkach,
- adaptacja pierwszego poziomu przykościelnej dzwonnicy w Drohobyczu na salę wystawową obrazów Najświętszej Marii Panny czczonych na Ukrainie,
- autorstwo licznych artykułów metodycznych w „Głosie Nauczyciela”.

Oraz szereg mniejszych inicjatyw, w tym aktywny udział w opiece nad starszymi samotnymi Polakami itd.

Za zasługi dla polskiej mniejszości pan Chłopek odznaczony został: Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej, Odznaką Zasłużony dla Kultury Polskiej, Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Złotą Odznaką Towarzystwa Miłośników Lwowa, Złotą Odznaką za Za-

sługi dla Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, Srebrnym Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej, oraz szeregiem innych wielce zaszczytnych wyróżnień.

Podkreślić należy także fakt, że A. Chłopek jest wielkim orędownikiem polsko-ukraińskiej współpracy, oraz cieszy się w Drohobyczu wielkim szacunkiem także wśród Ukraińców.

Pieśni ludowe z Podola z nutami

cz. III – Rutko zieleniutka

przedruk z: „Biblioteczka Pieśni Regionalnych nr. 12 Podole” pod redakcją Karola Hławiczki, Katowice, lata 30 XX w.

Rutko zieleniutka

Pieśń weselna

Z okolic Skalaty.

Umiarkowanie (M. M. ♩ = 80)

mf



1. Rut-ko zie-le-niut-ka, czegoś się u- wi- ła,



Oj mło-da Ma-ry-siu, coś się za- smu-ci- ła.

2. Rutko moja, rutko, i ty rozmąrynie, * Już cię moja rączka ostatni raz winie.

3. Wianeczek zielony słoneczko mi pali, * Idę w cudze strony, serce mi się żali.

4. Służyła ci rutka aże do wesela, * Idź Maryś pożegnaj z ogródeczkiem ziela.